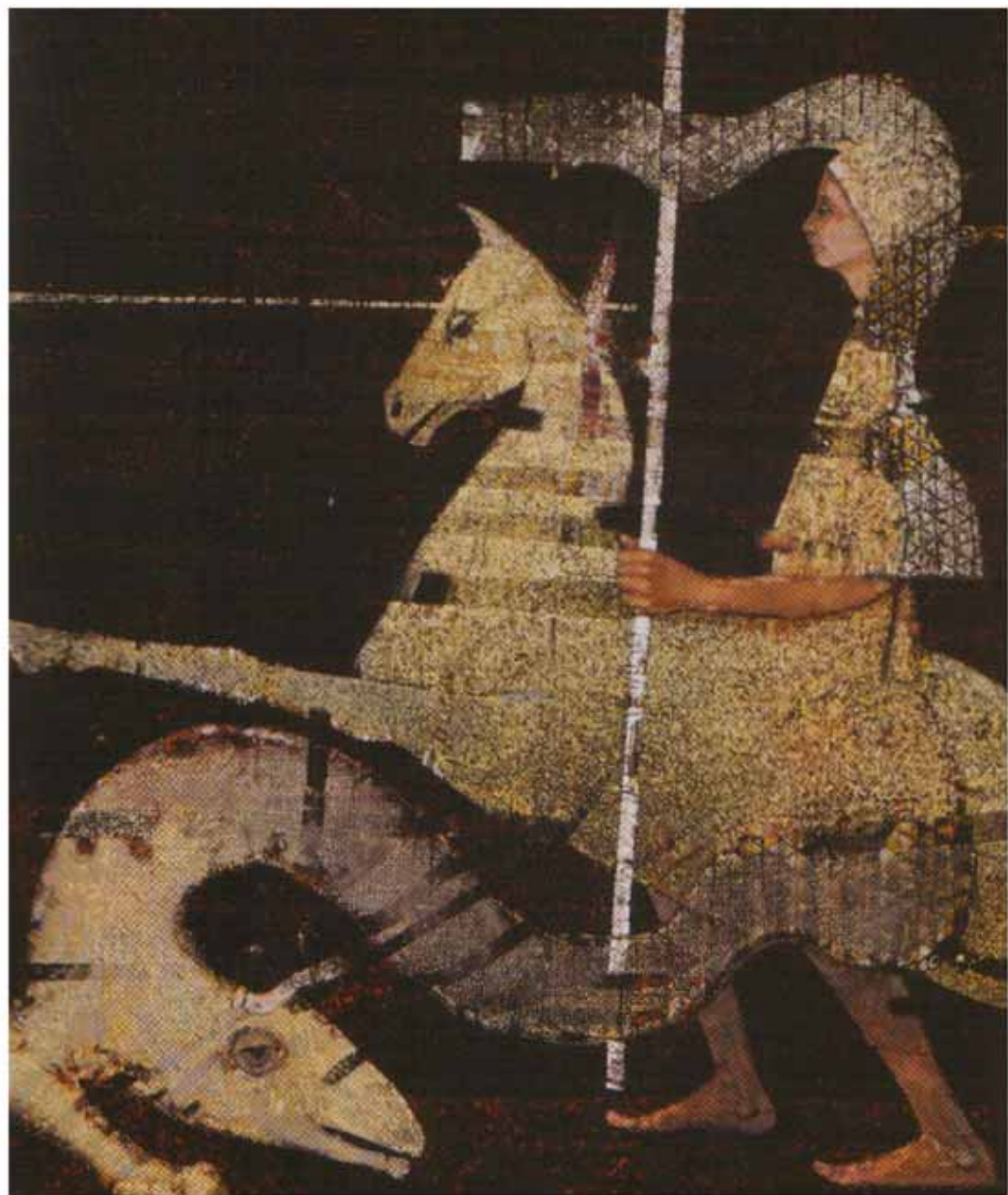
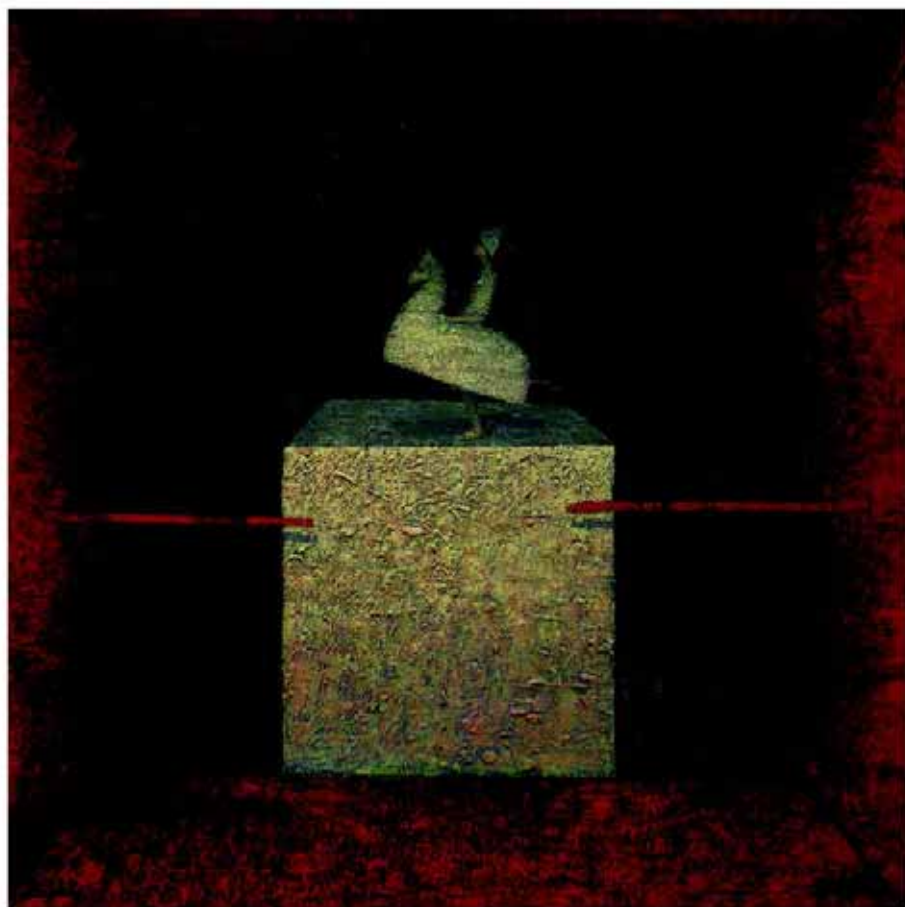


aleje 3

NUMER 65 styczeń - luty 2008
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Czerwony dylemat w pudełkach braku wyobraźni

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Portal „nasza klasa” okazał się zjawiskiem niezwykłym. Założony dla zabawy, w ciągu ostatnich tygodni doznał niebywałego przyspieszenia, potroił liczbę uczestników, liczonych dziś na ponad 9 milionów osób. I szybko wzrasta.

Okazało się, że ludzie tęsknią za rozmową, listem, telefonem. Chętnie czytają wspomnienia, oglądają stare zdjęcia, opowiadają anegdoty. Są otwarci, serdeczni, życzliwi – chcą się spotkać, zobaczyć, porozmawiać. Nie za rok czy dwa, kiedy wypada okrągła rocznica rozpoczęcia lub zakończenia nauki. Chcą się zobaczyć już teraz, prawie natychmiast. Dawni koledzy z tej samej klasy, szkoły czy miasta, często rozrzućeni po kraju i za granicami, z utęsknieniem czekają na spotkanie po latach.

Odrzucając skrajności, jak typową dla internetu chęć wygłupów, uczestnikami „naszej klasy” kieruje pozytywne myślenie i dobra energia. Oczywiście, chcą przy okazji pochwalić się swoimi osiągnięciami, zajmowaną pozycją, życiowym dorobkiem, dziećmi, mężem, żoną, domem, samochodem, egzotycznymi wakacjami. Setki i tysiące spotkań i zjazdów już się odbywa w restauracjach, pubach, kawiarniach. Ludzie chcą się spotkać, pogadać, a przy tym muszą zjeść coś, wypić, skorzystać z noclegu. Restauratorzy zacierają ręce, interes się kreci i przyspiesza.

Spotkanie po latach to dla wielu sytuacja bardzo atrakcyjna. Przypominamy sobie w dawnych czasach, a także innych, sprawdzamy jak wyglądamy teraz, jak wyglądają inni. I oczywiście liczymy, że dawni koledzy pamiętają, jacy byliśmy piękni, mądrzy, dowcipni. „Kiedy słyszę twoje nazwisko – napisała do mnie dawna koleżanka – przede wszystkim przychodzą mi na pamięć twoje wielkie, rozczłapane buty”. Doprawdy? A ja myślałem, że zapamiętała, jaki byłem przystojny, miły, mądry. Okazuje się, że wcale nie mamy wpływu na to, jak nas pamiętają inni. Nie zadawaliśmy sobie sprawy, że zapamiętano nas zupełnie inaczej, niż do tej pory sądziliśmy, a nawet wbrew naszym intencjom.

Wiktor Woroszyński wylicza w książce „Kto zabił Puszkina” miłości i miłości wybitnego rosyjskiego poety. Jedną z nich była księżna Eudoksja Golicyn, na pewno mile połączona zainteresowaniem artysty. Zapewne i próżność jej była zaspokojona, wszak księżna prowadziła znany w Petersburgu salon i mogła liczyć, że trafi do historii. I trafiła, ale w nieco innym charakterze, niż sobie tego życzyła. Rzecz bowiem w tym, że pani ta - w latach 40. XIX wieku, już po śmierci Puszkina - występowała z gorącymi akcjami przeciw wprowadzeniu w Rosji ziemniaków. Argumentowała, że uprawa ta kłóci się z rosyjską tradycją i w ogóle nie ma sensu. Jej działania wydają się dziś zaskakujące, ale przecież nie mogła wiedzieć, że kiedyś „kartoszka i harmoszka” staną się atrybutami jej rodaków. Znamcom literatury księżna znana jest więc jako miłość wielkiego poety Puszkina, inni pamiętają ją tylko jako przeciwniczkę życiodajnych upraw.

My, współcześni, mamy jeszcze szansę, żeby poprawić swój wizerunek - na owych spotkaniach szkolnych czy klasowych. Nie wielką może, ale mamy, bo coś jeszcze możemy zrobić, czymś zabłysnąć. Dowiedliśmy wprawdzie, że te sprawy w małym stopniu zależą od nas samych, ale co szkodzi spróbować. Próbować trzeba, bo przecież każdy z nas wolałby zostać zapamiętany jako przedmiot uwielbienia i miłości, a nie tylko jako przeciwnik kartofli.

Marian Piotr Rawinis

MALARZ Z CYSTERSKIEJ DOLINKI

z Januszem Rafałem Głowackim
rozmawia Marian Panek

Ukończyłeś wydział grafiki na ASP w Krakowie. Dlaczego obecnie specjalizujesz się w malarstwie a nie w grafice?

Janusz Rafał Głowacki: Magia grafiki, jej proces technologiczny rozciągnięty w czasie – specjalizowałem się w akwaforcie – kilkakrotne stany trawienia, żmudne nanoszenie kolejnych etapów rysunku, graniczyło z szaleństwem w oczekiwaniu na odbitkę z prasy. Krótko mówiąc, byłem i jestem pasjonatem grafiki. Jeśli chodzi o malarstwo, to zająłem się nim dopiero po studiach, tak na poważnie. Radość, którą daje praca nad obrazem, gdzie efekt jest widoczny od razu, a nie skrywany pod werniksem tak jak w grafice, była pewnego rodzaju odreagowaniem. Patrząc z dystansu na moje malarstwo, muszę stwierdzić, że w pierwszym okresie twórczości był

widoczny ten emocjonalny stosunek przejawiający się w kontrastach chromatycznych i ekspozowaniu gestu malarskiego. Mam wrażenie, że ten pierwszy etap twórczości jest w sensie metaforycznym i dosłownym podkładem, czy też materią malarską, punktem wyjścia do budowania obrazów w chwili obecnej.

Opowiedz o czasach, kiedy studiowałeś na Akademii. Kto był dla Ciebie najważniejszy w sztuce. Jakich miałeś profesorów. Co ważnego wyniosłeś ważnego ze szkoły.

Studiowałem w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, słuchało się wtedy Boba Marleya, centrum życia „duchowego” znajdowało się w akademiku na Dzierżyńskiego. W sztuce najważniejszy był w tym czasie, jeśli chodzi o malarstwo, Velickovic, a jeśli chodzi o grafikę - Brunowski. Jeżeli nie musiałbym odpowiadać wprost, to nie wymieniałbym nikogo, z tego powodu, że wszyscy są ważni, jak sztuka długa i szeroka, bez wyjątku. Podobanie się, moda chwilowa czy też wielkie zainteresowanie jakimś artystą związane jest najczęściej z jakąś wystawą, koncertem, filmem czy też książką, które pojawiły się na jego temat. Ale tak naprawdę, to ich wszystkich nosi się w sercu. Jeśli chodzi o profesorów, to oczywiście byli i są to wspaniali ludzie, którzy do studentów mieli najczęściej ojcowski stosunek. Kiedy trzeba było, to chwalili, a kiedy trzeba było skarcić, karcili. Ze szkoły wniosłem to, co najważniejsze - samorealizację poprzez samokształcenie, a gwarantem tego jest ciężka praca.

Dlaczego wróciłeś do Częstochowy?

Bo Rycho Mamicho wymyślił, że Częstochowa będzie Florencją sztuki. To było powiedziane żartem, ale Rysiek trafnie przewidział, że w naszym mieście nastąpi eksplozja talentów. Z Ryśkiem Mamisem studiowałem w Krakowie, przyjaźniliśmy się aż do momentu naszych rozjazdów. Ja zamieszkałem na wsi, Rysiek w Przyrowie, teraz jest w Anglii. Dla mnie był to powrót do korzeni, do magii miejsca, jakie nosi w sobie Jasna Góra. A poza tym, nigdy nie przejawiałem jakichkolwiek chęci do migracji czy emigracji. Dobrze się czuję niezauważany.

Mieszkaś w Jamnie niedaleko Kruszyny. Twój dom jest częścią rodzinnej posiadłości. Przybliż trochę nam, mieszkańcom, odmienności wiejskich klimatów.



Wybrałem życie na wsi, bo nic lepszego nie mogłem zrobić. Zawsze ciągnęło mnie do tego, żeby zostać Robinsonem Crusoe. Życie na wsi można podzielić na dwa etapy roczne: ciężka zima, sielskie wiosna i lato. A tak naprawdę, to brakuje mi przestrzeni, takiej szerokiej, otwartej, bo ojciec wybrał miejsce w dolince strumienia pod lasem, na cmentarzysku kultury łużyckiej, o czym nie wiedział, gdy to miejsce wybierał. Tak jak cystersi, mieszkam w dolince bez szerszych perspektyw, a tęskni mi się za horyzontem benedyktyńskim. Życie na wsi daje dystans do postrzegania siebie i do tego wszystkiego, co można nazwać „wyścigiem szczurów”.

Co cenisz w malarstwie?

W malarstwie cenię szczerą wypowiedź, szczerą wypracowaną ciężką pracą w zgłębianiu samego siebie. Z biegiem lat, wydaje mi się, sam proces twórczy staje się motywacją sam w sobie. Jeśli jest on przerywany etapami pustki kreatywnej, to tęsknota za samym malowaniem wzrasta, potęgowana przez wewnętrzny niepokój twórczy. Już od dłuższego czasu preferuję zasadę, że materia sama w sobie jest nieokreślonym podłożem zjawisk. Wierny tej

zasadzie, a zarazem dbając o optykę obrazu, budując go, w pierwszym etapie, wychodzę od nanoszenia nań nieokreślonego z góry chaosu chromatycznego farb, kładzionych z gestem i z ekspresją na płótno. Ten chaos stopniowo ulega podrządkowaniu, farba musi zmienić się w kolor. Na tym etapie często wprowadzam papier ścierny do zdzierania farby, aby dać wrażenie palimpsestu. Środki wyrazu stopniowo łagodnieją i powoli dają miejsce na pojawiający się temat. Zamysł w postaci szkicu funkcjonuje w nielicznych pracach, częściej pojawia się szkic roboczy, porządkujący i harmonizujący kompozycję.

Obecnie pracujesz na Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Chcesz przekazać swoim studentom, na co zwracasz szczególną uwagę w kształceniu?

Chciałbym przekazać, że malarstwo to wiecznie kwitnące drzewo i każdy student może znaleźć się na nim, poprzez pracę w pracowni, samorealizację i samokształcenie. Tak, samokształcenie, bo artysta kształci się sam do końca swoich dni i nie zazna spokoju w poszukiwaniu własnej drogi i siebie. W kształceniu studentów największy nacisk kładę na środki wyrazu i samodzielne interpretacje zjawisk (akt, martwa



Czasy studenckie

natura). Staram się, aby każdy student wypracowywał swój osobisty język malarski czy rysunkowy. Właśnie poprzez środki wyrazu postrzegamy skłonności artystyczne, emocjonalne i warsztatowe studentów. To one wprost mówią o twórcy. Często w trakcie zajęć przytaczam maksymę Andomenidesa: Zadaniem nie jest mówić to, czego nikt nie powiedział, lecz tak mówić, jak nikt inny nie zdoła. Z tych słów wynika, że temat jakby nie ma znaczenia, lecz środki wyrazu, które go budują, stanowią o odmienności naszej interpretacji. W trakcie korekt staram się podchodzić w sposób zindywidualizowany do każdego studenta, ze względu na duże zróżnicowanie świadomości artystycznej. Staram się, aby studenci sami, jeśli mają taką potrzebę, kreowali pole modela czy współpracowali przy ustawianiu martwej natury. Uważam, że w kształceniu ma to istotne znaczenie, dzięki temu razem niszczymy barierę, jeśli taka istnieje, student – pedagog. Aby dojść do czegoś istotnego, musimy stworzyć zespół rozumiejących się nawzajem ludzi.

Ostatnio w częstochowskiej Zachęcie miałeś dużą indywidualną wystawę malarstwa. Jakie było jej przesłanie malarskie i intelektualne?

Budując zestaw prac do przewodu habilitacyjnego pt „W poszukiwaniu pierwowzoru - mitologia

pierwowzoru wewnętrznego”, zawarłem w nim przemyślenia z ostatnich kilku lat na temat interesujących mnie zagadnień malarskich. Dychotomia zawarta w tytule, wskazuje na dwa aspekty zagadnienia, pierwsza część określa czynność, a druga zakres poszukiwań. Zestaw obmyślany jest przeze mnie wielowątkowo i stanowi jedną całość - katalog plus wystawa. Podstawowy problem, z którym się spotykamy, widocznym na pierwszy rzut oka, to siła kontrastu, napędzającego przestrzeń w samych obrazach, jak i architekturę wystawy. Zestawiając na niej małe formy malarskie z dużymi, chciałem wymóc na widzu interaktywną reakcję w oglądaniu prac. Intencją moją było ukazanie tego zagadnienia w przestrzeni katalogu, lecz nie do końca było to możliwe, bo nie wszystkie obrazy, ze względu na techniczne, mogłem przedstawić w odpowiedniej skali, tak aby uwydatnić ten interesujący mnie problem. Utrzymując rzeczywistą skalę między obrazami, doszłoby do sytuacji paradoksalnych. Na myśl przychodzi mi porównanie, jakiego dokonał Dürer w książce „Dzieci wszechświata”, chcąc uzmysłowić skalę wielkości między Słońcem a Ziemią. Gdyby Ziemia była oddalona od Słońca o 8 metrów, to w skali tej Ziemia byłaby wielkości główki od szpilki a słońce wielkości pomarańczy.



Zagadnienie płaskiej i specyficznej przestrzeni katalogu akcentuje jako środkowa część, w której reprodukcje malarstwa kontrastujące z bielą kart papieru są obdarzone cieniami wyciągniętych z obrazów postaci czy elementów sygnalizujących problem zawarty w obrazie. Postacie powiększone, a obniżone walorowo do szarości, delikatnie zaburzają, a zarazem wzbogacają klasyczny układ kart katalogu, stwarzając dodatkową przestrzeń wewnętrzną. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że układ wystawy, prezentacja obrazów, jest spójna, gdzie to możliwe z niektórymi stronami w katalogu. W ten sposób chciałem unaocznić problem skali i przestrzeni w katalogu i konfrontacji jej z rzeczywistością wystawienniczą. Czasami efekt jest zaskakujący. Drugim zagadnieniem występującym w tym zestawie prac jest interpretacja tego samego tematu w dużych i małych formach malarskich. Trzecie zagadnienie to interpretacja samej przestrzeni. Jeśli chodzi o przesłanie intelektualne, to odsyłam zainteresowanych do mojego wstępu w katalogu.

Jak myślisz, czy Częstochowa mogłaby być prawdziwym miastem sztuki? Jakie warunki musiałyby powstać, by to zrealizować?

Częstochowa jest historycznie uzasadnioną stolicą duchową Polski, ale prawdziwym miastem sztuki - nie. Jeśli ja, jako pedagog, mam wystawę w Częstochowie i na tę wystawę przychodzi garstka moich studentów, których zaprosiłem osobiście, znajomi pedagodzy i rodzina - to Częstochowa nie może być miastem sztuki. Jeśli sprzedałem na wystawie 20 katalogów, to Częstochowa nie może być miastem sztuki. Po prostu jest brak zainteresowania sztuką. Stereotypowe wielkie nazwisko przyciągnie głuche i ślepe tłumy, lokalny artysta nie. Myślę, że prawdziwe miasto sztuki to miasto, w którym jest prawdziwy mecenas. Wydaje mi się, że żadne warunki tego nie zrealizują, to musi wynikać z zainteresowań i potrzeb mieszkańców. Częstochowa otrzymała wywalczoną z wielką determinacją jedną z najpiękniejszych kameralnych sal wystawienniczych w Polsce, Konduktorownię. Czy to coś zmieni, czas pokaże...

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Marian Panek



Truchcikiem po galeriach

XX Plener Malarski, czyli podglądanie Częstochowy przez dziurkę od klucza, miał swój wernisaż 18 stycznia w Miejskiej Galerii Sztuki. Komisarzem pleneru, autorem pomysłu scenariusza jest Urszula Łyko-Katus. Uczestników pleneru było 23 - artystów z Częstochowy, z Okręgu ZPAP. Od wielu lat w zestawie osób uczestniczących w plenerze nie pojawiają się żadne nowe. Plener artystycznie podupadł.



Fot. Leszek Pilichowski

Nawet tegoroczna prezentacja, mimo bardziej osobistego zaangażowania się kilku twórców w efekt ideowy i artystyczny przedsięwzięcia, jest niestety mizerna. Aranżacja wystawy zrobiona została straszliwie szkolnie. Całość źle oświetlona. Kilka instalacji jest pomyłką, sileniem się na jakąś współczesną myśl plastyczną. Zdumiewające są niektóre



formy połączenia formy instalacji z tradycyjnym obrazkiem - landszaftem naturalistyczno-werystycznym. Instalacja to instalacją a obrazek olejny czy pastela, to inna para kaloszy. Wyróżniły się prace: Włodzimierza Karankiewicza, Elżbiety Chodorowskiej, Andrzeja Desperaka, Jolanty Winiszewskiej, Jacka Sztuki. Panie i Panowie z Zarządu Okręgu ZPAP w Częstochowie: zróbcie plener, na który zaprosicie znanych artystów



Fot. Leszek Pilichowski



z zewnątrz. Zobaczycie Częstochowę i siebie samych oczami innych.

W Miejskiej Galerii Sztuki wystawiono ponad trzysta prac **Jerzego Dudy-Gracza** poświęconych kompozycjom Fryderyka Chopina, o czym już wspominaliśmy. Wystawa swoją pierwszą, znakomitą odsłonę miała w Teatrze Wielkim w Warszawie. Miałem okazję widzieć jej aranżację. W Częstochowie, niestety, mamy pokaz przeładowanej, bardzo tandetnie zaaranżowanej wystawy ze scenograficzną dekoracją fragmentu chopinowskiego dworku w Żelazowej Woli zbliżoną do tekturowego kiczu. Przy fenomenalnych, genialnych wręcz kilkunastu obrazach olejnych, niezliczonych dobrych i bardzo dobrych kompozycjach malarskich, wystawiono również te niedobre, upychając je trochę po kątach. Jest wiele prac, które nie powinny się znaleźć na ekspozycji, mimo szczytnego przesłania, czy chęci dopełnienia zawartości dzieł wszystkich, czyli kompozycji muzycznych Chopina w wyobrażeniu malarskim Jerzego Dudy-Gracza. Wszystko jest w rękach i w myśleniu kuratora wystawy: jak te prace wyeksponować i czy je w ogóle eksponować. Wiele, zwłaszcza akwrel zmarłego w 2004 roku znakomitego częstochowianina, jest po prostu „puszczonych”. Są to być może szkice do cze-

goś większego. Niestety, nikt nic na ten temat nie powiedział, co jest świadectwem bagatelizowania twórczości tego wybitnego twórcy. W takich wypadkach profesjonalizm jest szczególnie wskazany. Zwłaszcza sama aranżacja, z pretensjonalnością tekturowego dworku, kolorowo podświetlonego, może śmiało kandydować do „kwadratowej wiśni roku” w dziedzinie wystawiennictwa.

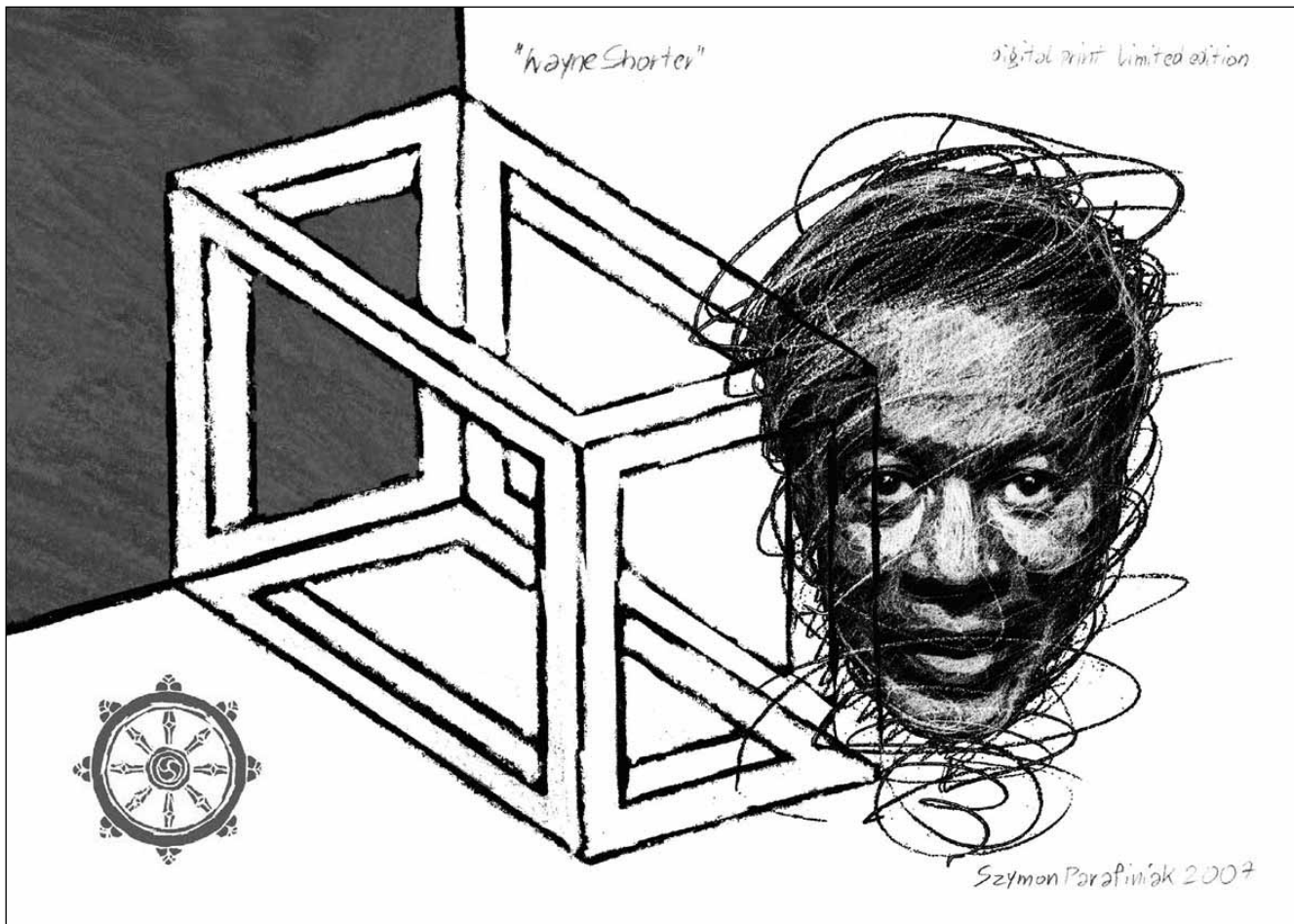
W grudniu 2007 roku **Jacek Sztuka** w Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” zaprezentował swoje osiągnięcia w dziedzinie portretu. Zobaczyliśmy wiele prac, które są próbą pogłębienia psychologicznej sfery wyrazu portretowanej osoby w ramach kreatywnej gry pomiędzy na zewnątrz i wewnątrz. Jacek Sztuka przedstawił wcześniej portret zbiorowy pasażerów podróżujących autobusami, na zewnątrz których pojawiają się reklamy dnia codziennego. Robota trochę „z rzutnika” na podstawie własnych zdjęć – była pewnym socjologicznym rozpoznaniem rzeczywistości oraz jej rozwarstwionej, schizofrenicznej atmosfery. Jacek Sztuka, baczny obserwator, zainteresował się równocześnie ludźmi w innych niż autobusy pojazdach. Są więc na wystawie postacie we wnętrzach samochodów osobowych, jak również parowozów. Są one jednak też trochę znacząco na zewnątrz, na przykład wysunięta głowa czy ręka. Jeżeli są całkowicie wewnątrz, to za szybą samochodu, na którego masce mamy jakieś dobra konsumpcyjne namalowane w formie naturalistycznej, rozgrywa się tu pewien dramat słońca. Inne portrety są zawsze u niego połączone z grą wewnątrz – na zewnątrz. Nawet Rektor Politechniki Częstochowskiej, January Bień, stoi tym razem na zewnątrz budynków uczelni (taki artystyczny chwyt). Prof. Leon Maciej ma portret wewnątrz kapelusza,



artystka Sabina Lonty została sportretowana w stylu wewnętrznym – buduarowym, a były rektor ASP w Krakowie, prof. Stanisław Rodziński jest osaczony cieniami na korytarzu swojej uczelni. Sam artysta widzi się na zewnątrz i wewnątrz lustra. Myślę, że w tej grze i tych kompozycyjnych pomysłach jest wiele gorzkiej a zarazem ciepłej ironii, pewnej informacyjnej zbitki na granicy dobrego smaku czy banału. Artysta jest młody, więc poszukuje. Robi to z zapalem i dużym malarskim kunsztem.

„Out of the box” czyli „Ucieczka z pudełka”, to tytuł wystawy **Darka Pali** i **Szymona Parafiniaka** w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie. Wernisaż tej wystawy odbył się piątego stycznia w nowej siedzibie Zachęty, Konduktorowni i wywołał pewien szum medialny. Zwłaszcza, że otwarciu wystawy towarzyszył koncert grupy Simple Acoustic Trio, koncertującej i nagrywającej płyty wielokrotnie z guru jazzu i trąbki, Tomaszem Stańko. Wystawę reklamuje rewelacyjny, bardzo trafny znaczeniowo i sugestywny kolorystycznie plakat, znakomitego grafika Jarka Koziary. Starannie wydano zestaw dwu katalogów oraz książeczki o zespole muzycznym,





do których przygotowano specjalne pudełko. Bra-
wo projektanci.

Sama ekspozycja, a zwłaszcza jej aranżacja, zrealizowana czysto i profesjonalnie, podbija wartości kompozycyjne prac obu artystów. Jak niewiele jest takich aranżacji – klarownych znaczeniowo – w częstochowskich galeriach. Bardzo dobre i dobre prace zaprezentowane w przestrzeni Konduktorowi zaświeciły artystyczną jakością. Złych prac nie było.

Obrazy malarskie Darka Pali, częstochowianina z pochodzenia – obecnie obywatela stanu Floryda w USA – są inspirowane sztuką amerykańską, zarówno gorącą geometryczną abstrakcją, jak i motywami oraz znakami kulturowymi tego obszaru. Zgeometryzowany cykl wazono-kwiatów, a właściwie zagadkowych indiańskich totemów czy pasowo-
plażowe figuralne układy kompozycyjne, oddychają czystym, świecącym kolorem. Są świeże, nieprzegadane i wewnętrznie spójne.

Szymon Parafiniak, podobnie jak Pala absolwent Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, dysponuje innym rodzajem kreatywnością. Dał się już poznać ze swojego koncepcyjnego myślenia w ob-

szarze zarówno grafiki wydawniczej, jak i niekonwencjonalnych portretów osobistości świata sztuki, przede wszystkim ludzi jazzu, wirtuozów różnych instrumentów, również artystów innych dziedzin twórczych. Szymon Parafiniak ma też ambicje tworzenia różnych projektów artystycznych. Trzeba powiedzieć, że w tych niebanalnych i ambitnych projektach sprawdził się jako organizator i artysta, realizując m.in. wystawy „Project... or” czy „Ojcowie i córki”. Tym razem przedstawił zestaw dwunastu portretów najwybitniejszych osobowości muzycznych XX i XXI wieku związanych z jazzem, jak Airto Moreira, Jan Garbarek, John Scofield, Gato Barbieri, Keith Jarrett czy Herbie Hancock. Zrealizował je łącząc różne techniki i rysunki, pastele, tempery a po ich zeskanowaniu, złożył w całość na komputerze. Później wyeksponował je jako digital printy przy pomocy druku solwentowego na podobrazim płóciennym. Prace te trzeba traktować jako grafiki. Są bowiem powielone w kilku egzemplarzach, jak również w dwu różnych formatach.

Wystawa ta nie tylko jest warta zobaczenia; jest koniecznym dla każdego widza przeżyciem estetycznym.

W Galerii From Poland prezentuje swoją twórczość **Altea Leszczyńska**, która zainteresowana erotycznymi i seksualnymi wątkami poezji Artura Rimbauda, zobrazowała je w malarstwie. Jak wiemy, poeta uprawiał seks zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami – był obiektem uczuć i kochankiem Charles’a Beaudelaire’a. Tytuł prezentowanej ekspozycji: „Abstrakcje erotyczne według Artura Rimbaud”. Wystawie i jej otwarciu towarzyszyła recytacja wierszy genialnego francuskiego poety w wykonaniu Adama Hutury oraz występ zespołu rockowego „Roboty Drogowe”. Prezentacji artystki dokonali Mariusz Chrząstek oraz Marian Panek. Altea Leszczyńska przywołała w swych obrazach malarskich erotyczne treści poprzez symboliczne znaki i formy. Przede wszystkim operuje formami fallicznymi i waginalnymi, komponując je w przestrzeni zarówno otwartej, jak i zamkniętej; traktuje je jak głównych aktorów swojego malarskiego przedstawienia. Można powiedzieć, że teatralizuje swoje wyobrażenia malarskie. Formy lewitują, unoszą się, płyną. Poszukują adresata, punktu odniesienia, swoistego portu, do którego mogą zawinąć. Spełnić się! Ale spełnienia nie ma. Jest tylko ciągła walka form – przyciąganie i odpychanie. Próba odegrania własnej roli w malarskim kosmosie. Wystawa warta zobaczenia - potrwa do końca lutego.



„**Leszek Wieluński. Artysta. Pedagog**” - to tytuł wystawy pośmiertnej wybitnego projektanta medali, rzeźbiarza i nauczyciela akademickiego, przygotowanej przez Bibliotekę Główną Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Leszek Wieluński ukończył w 1982 studia artystyczne w Instytucie Plastyki WSP w Częstochowie i został zatrudniony jako asystent stażysta w Zakładzie Rzeźby. Później jako pierwszy pełnił funkcję dziekana nowopowstałego Wydziału Wychowania Artystycznego. Tworzył głównie medale o różnorodnej tematyce. Najważniejszym tematem tych prac jest pejzaż, który stał się dla niego podstawowym źródłem inspiracji. Zwłaszcza pejzaż jurajski oraz częstochowski pejzaż miejski. Leszek Wieluński zapisał się w historii polskiego medalierstwa jako osobistość o wielkiej wrażliwości rzeźbiarskiej i doskonałej znajomości opracowania mosiężnego i cynkowego tworzywa. Ponad sto jego prac posiada w zbiorach najbardziej fachowe w tej specjalności muzeum – Muzeum Medalierstwa Polskiego we Wrocławiu. Wystawa w Bibliotece Główniej AJD w Częstochowie składa się z dwu części. Pierwsza jest małą monograficzną, a zarazem memorialną wystawą przedwcześnie zmarłego twórcy, gdzie zaprezentowano jego poszczególne realizacje właściwie z każdego okresu twórczości. Ciekawym przeżyciem jest możliwość zobaczenia trzech niedokończonych projektów medali w plastelinie, które nie zostały jeszcze odlane, a zostały rozrzeźbione na krótko przed śmiercią artysty. Drugą część wystawy stanowią prace wychowanków Wieluńskiego. Wiele z tych płaskorzeźb medali i plakiet reprezentuje wysoki poziom artystyczny. Wystawie towarzyszy skromnie, ale fachowo wydany katalog. Kuratorem tej bardzo interesującej i mającej istotne walory dydaktyczne prezentacji jest prof. Jerzy Piwowarski.



Oglądał Marian Panek

LESZEK WIELUŃSKI (1955 – 2006)



W lipcu 2006 roku odszedł nagle Leszek Wieluński, fenomenalny artysta, dobry, życzliwy, zawsze uśmiechnięty, mądry człowiek, zdolny organizator, który miał jeszcze tyle planów, nie tylko artystycznych, że starczyłyby na dziesięciolecie.

Był niezwykle zdolnym artystą, który tworzył w trudnym, opor-

nym, twardym materiale, a mimo tego spod dłuta Leszka, drobnej i kruchej budowy człowieka, wychodziły znaczne niepospolitą, twórczą wyobraźnią małe arcydziełka, pełne lekkości, fantazji i „powietrza”. Jego prace – medale, inspirowane przyrodą, ważnymi faktami z życia czy przypadającymi rocznicami, były dopracowane do najdrobniejszego szczegółu, konsekwentnie zaprojektowane i wyjątkowo starannie wykonane.

Leszek był twórcą o rzadko spotykanych wśród artystów cechach: słowny, ofiarny, bezinteresowny, zawsze skory do pomocy, otwarty tak na potrzeby uczelni, którą skończył, a potem w niej pracował, jak i ludzi, którymi się otaczał. Nigdy nie odmawiał, a jeśli wiedział, że nie da rady czegoś zrobić, natychmiast stosował plan awaryjny, czyli znajdował godnego siebie zastępcę.

Przykładem bezinteresownego, w pełni zaangażowanego działania na rzecz uczelni, stał się piękny, czysty znak graficzny Biblioteki Głównej WSP i przez wiele lat tworzone aranżacje do jej „korytarzowych” wystaw, gdzie każdorazowo proponował przemyślaną, lakoniczną i ujmującą w swej prostocie oprawę plastyczną.

Zawsze radosny, tryskający twórczą inicjatywą, umiał rozwinąć pozornie błahe pomysły, czyniąc z nich cenne, wartościowe dydaktyczne zamierzenia, następnie konsekwentnie realizowane, tak jak to było w pomysle konkursu dla dzieci malujących ilustrację do „mojej pierw-

szej czytanki”. Nie patrząc na zegarek, z pasją godną artysty tej miary, poświęcił bardzo dużo czasu, by ten konkurs stał się prawdziwym dla dzieci przeżyciem. Jako juror pieczołowicie i z charakterystyczną dla Niego dokładnością oceniał każdą pracę, by wysupłać najciekawsze, najoryginalniejsze, ale i dobrym słowem wyróżnić te, które do nagród się nie kwalifikowały. Podczas ich rozdania rozmawiał z małymi laureatami jak z prawdziwymi artystami, traktując ich poważnie i z szacunkiem, czym zjednał ich sobie na zawsze. Jego ciepły uśmiech, łagodny głos i z lekkością artykułowany dowcip rozładowywał napięcie, dzięki czemu dzieci czuły się znakomicie.

Jednocześnie Leszek był arcyskromnym człowiekiem, unikającym rozgłosu i komplementów, które Go w widoczny sposób krępowały. Chętnie za to komplementował, innym dodając tym samym pewności siebie. Sam jej nie miał zbyt wiele, za to czynił to z dziecięcym wdziękiem, naturalnością, no i przekonująco. Nie posługiwał się potocznie wytartym językiem sloganów, a celnymi figurami retorycznymi uwydatniającymi sedno. Lubił patrzeć na kobiety i zauważać w ich wyglądzie to, co było w nich najpiękniejsze, by potem podkreślać ten fakt na każdym kroku, czyniąc im niekłamną przyjemność. Był wobec kobiet szarmancki i nieco staroświecki. Tajemnicą Leszka pozostanie dlaczego pełen estymy, otwarty i naturalny, pozostał samotny.

Żywo reagował na wszystko, co działo się dookoła Niego, tak w życiu artystycznym, jak i politycznym czy społecznym. Był szczery w swoich poglądach, wierny głoszonemu teozom, a gardził tymi, o których Mark Twain pisał następująco: „Lubimy tych, którzy bez wahania mówią to, co myślą, pod warunkiem, że myślą to samo co my.” A poglądy polityczne, które prezentował w sposób zdecydowany, miał jak każdy wielki artysta, przemyślane, doprecyzowane, przejrzyste, nie pozostawiające miejsca na domysły.

W mojej pamięci Leszek na zawsze pozostanie ciepło uśmiechniętym, jakby zawstydzonym człowiekiem, który wielkością swego ducha, nie dorównywał do czasów, w których przyszło Mu funkcjonować i tworzyć.

Jego śmierć była splotem przypadków, które nie pozostawiły cienia wątpliwości, że otaczający świat niekoniecznie jest przyjazny dla przyjaznych światu ludzi.

Joanna Grochowska

Niedawno w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie Magda Umer, Piotr Machalica i Zbigniew Zamachowski zaśpiewali „Piosenki Starszych Panów”. Towarzyszył im zespół muzyków oraz dwa chóry: „Collegium Musicum” i Chór Kameralny Uniwersytetu Warszawskiego.

Warto powąchać, czego młodzi chcą od kina

**O aktorstwie i dodatkach do niego -
ze Zbigniewem Zamachowskim
rozmawia Dominika Radkowska**

Oglądamy dziś Pana w repertuarze wokalnym. Czy śpiewanie, komponowanie muzyki jest dla Pana uzupełnieniem działalności aktorskiej, czy też jest na równi ważne?

Przede wszystkim zajmuje mnie mój zawód wyuczony – i wykonywany – czyli aktorstwo, natomiast muzyka, odkąd pamiętam, towarzyszyła mi w życiu nieodłącznie. Skończyłem nawet szkołę muzyczną I stopnia. Moje wykształcenie muzyczne nie jest może dogłębne, ale przydaje mi się na tyle, że od czasu do czasu nie dość, że śpiewam, to jeszcze komponuję muzykę. To jest rodzaj suplementu w tym zawodzie – żeby nie zwańrriować.

Kto z Państwa trio w spektaklu „Piosenki Starszych Panów” podjął się roli reżysera?

Kształt przedstawienia jest kolejną konstelacją wykonawców repertuaru Kabaretu Starszych Panów. Źródło tego przedstawienia to

rok 1989 – jeszcze za życia Pana Jeremiego Przybory. Magda Umer postanowiła wówczas wskrzesić nieco już zapomniane piosenki Kabaretu Starszych Panów, namówiła do tego Pana Jeremiego. Zgodził się, choć z dużymi oporami, nie tylko na to, żebyśmy wykorzystali ten materiał, ale też na swój udział w spektaklu. Nazywało się to „Zimy żal”. Tamto przedstawienie teatralno-muzyczne stworzyliśmy z dużą grupą wykonawców. W tej chwili nie występujemy już w pełnej obsadzie – zostaliśmy we trójkę – wykonawcy śpiewający: Magda Umer, Piotr Machalica i ja. Grają z nami muzycy: Wojciech Borkowski na fortepianie, Czesław Bartkowski na perkusji, Adam Cegielski na kontrabasie. Andrzej Borzym – szef chóru akademickiego grywający też z nami wielokrotnie na basie – opracował wiele utworów na chór, my mieliśmy swoje opracowania. Rok temu stworzyliśmy fuzję i – łącząc siły – daliśmy pierwsze takie przedstawienie w teatrze Ateneum. Ojców tego wydarzenia jest więc co najmniej dwóch, a łączy nas repertuar.

Ceni Pan pracę w przyjacielskich gronach?

Pewnie, że tak. Wprawdzie dobrze jest od czasu do czasu rzucić się w nieznanne, ale przedsięwzięcia tworzone przez ludzi znających się, przyjaciół, to przyjemność nie tylko artystyczna, ale i towarzyska. Pewnie na scenie można to zauważyć – że my się znamy, lubimy. Myślę, że taki rodzaj sympatii przekłada się



też na drugą stronę rampy. Tworzenie w gronie ludzi, którzy się rozumieją, jest przyjemniejsze, niż docieranie się czasem krótko, a czasem długo-trwałe ludzi spotykających się po raz pierwszy.

Taką też koleżeńsko-zawodową jest Pana w s p ó ł p r a c a z częstochowskim twórcą Łukaszem Wylęzałkiem. Zagrał Pan w jego etiudach studenckich, spektaklach Teatru Telewizji, filmach. Chętnie realizuje Pan jego pomysły?



Oczywiście. Tylko żałuję, że tak rzadko – bo jest niezłomny, jeśli chodzi o topografię swoich poczynań artystycznych. Siedzi w Częstochowie, nie chce się ruszyć gdzieś dalej, co mu utrudnia możliwość częstszych realizacji. Ale kiedy tylko on coś robi, a widzi mnie w swojej obsadzie, to nie odmawiam nigdy. Bardzo się lubimy, znamy się rzeczywiście od studiów. Grałem w wielu jego filmach szkolnych i nie tylko szkolnych. Odpowiada mi bardzo jego absurdalne poczucie humoru. I jeśli zdarzy się nam jeszcze, na co liczę, współpracować, to bez wątpienia odłożę inne rzeczy i będę robił z nim, bo to jest taki rodzaj innego grzebania w materii tworzenia.

Odwiadał Pan Częstochowę przy okazji pracy na planach filmowych i teatralnych. Wiążą się z tymi realizacjami jakieś warte zapamiętania zdarzenia?

Nie jestem anegdociarzem... Najświeższe z tych odwiedzin były przy kręceniu zdjęć do „Zorki” Łukasza Wylęzałka. Generalnie było bardzo przyjemnie. Zazwyczaj Teatru Telewizji i filmy realizuje się, ze względu na koszty, w Warszawie i okolicach. A dzięki uporowi Łukasza kręciliśmy w okolicach Częstochowy, co dawało oddech i możliwość skupienia się wyłącznie na tym, co tutaj się robi. W Warszawie często jest tak, że po dniu zdjęciowym aktor musi jechać do teatru i ciągle jest zabieganie. A tutaj mogliśmy sobie wieczorami, po realizacji, pogadać, pośmiać się, podowcipkować, co jest nie mniej ważne, niż sama praca na planie. To było miłe, że byliśmy skupieni w jednym miejscu, mimo, że była zima – pora roku

niesprzyjająca kręceniu plenerów. Ale praca z Łukaszem – w jakich nie byłyby warunkach – jest dość ekscytująca.

Również pod Częstochową powstawały zdjęcia do filmu Władysława Pasikowskiego „Demony wojny według Goi” z Pana rolą Houdiniego. Czy odpowiadają Panu role w kinie wojennym, bądź sensacyjnym – było ich kilka, choć nie można powiedzieć, że wiele, w Pana filmografii.

Chętnie zapisałem się na tę „wycieczkę” u Władka Pasikowskiego, bo to rzadki przypadek, kiedy robimy duże kino, z rozmachem, gdzie jest dużo akcji, strzelaniny, przelotów samolotowych itd. Część filmu była realizowana w różnych miejscach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, duża część w Tatrach, w Sudetach. Gdyby były podobne propozycje częściej – na pewno brałbym w nich udział, bo jedno drugiego nie wyklucza; taki film jak „Demony wojny według Goi” to nie jest tylko kino akcji. To kino, nad którym warto się pochylić i zastanowić. Myślę, że ono jest dość głębokie, mimo tego, że można je nazwać komercyjnym.

Chyba nieczęsto zdarza się też Panu grywać postaci negatywne?

Tak bywam obsadzany. Nie jesteśmy, niestety, panami swoich ról. Chyba, że ktoś się nazywa Krystyna Janda i sama reżyseruje film, sama tworzy swój teatr i może się obsadzać i wybierać role. Większość z nas jest jednak zdanych na zrządzenie losu. Ja nie unikam takich ról i zawsze jestem bardzo zadowolony, kiedy rola zmusza mnie do zmiany emploty, bo



taki „płodozmian” jest niezbędny, żeby nie powiełać sobie w różnych wariantach. Ale parę takich ról udało mi się zagrać: niepełnosprawnego na wózku w „Cześć, Tereska” u Roberta Glińskiego, nauczyciela w „Weiserze” Wojciecha Marczewskiego. To nie są postacie pozytywne, wręcz odwrotnie. Myślę, że gdyby przyszło mi coś takiego znowu zagrać, uczynię to z przyjemnością.

Czy role, które wymagają przekraczania siebie, są dla Pana atrakcyjniejsze, niż granie postaci, którym można nadać część swoich cech?

Nie wiem, czy atrakcyjniejsze. One zmuszają do poszukiwań, żeby nie popadać w rutynę. Większość reżyserów obsadza mnie w rolach mieszczących się w moim emploi i w pewnej wypadkowej ról, które grałem dotychczas. A jakie role chciałbym zagrać? Nie mam jakichś szczególnych marzeń. Ale gdyby w teatrze dostała mi się ta rola - i trochę bardziej zepsuł charakter - to chciałbym wcielić się w Ryszarda III. Ale do tego musi jeszcze nieco czasu upłynąć.

Czy „robienie z siebie innych ludzi” wiele kosztuje Pana psychicznie?

Staram się, żeby jak najmniej, bo tak, żeby nic nie kosztowało, nie udaje się – taki jest ten zawód. Zawsze dbam, dbałem i dbać będę, żeby to nie wpływało na moje życie, bo

można by wylądować w zakładzie psychiatrycznym. To jest rzecz wyobraźni, którą trzeba realizować używając rzemiosła. To jest zawód w jakiejś mierze rzemieślniczy – fakt, że w nim się od czasu do czasu zdarza pofrunąć, odjechać – jest tylko bonusem z rzadka dawanym przez Opatrzność. Nie identyfikuję się z rolami, ani nie mam kłopotu ze zrzuceniem z siebie roli razem z kostiumem – czy to jest film, czy teatr. Myślę, że wszystko jest do zgrania. Niekoniecznie trzeba nadszarpywać swoją psychę, żeby być wiarygodnym.

Kiedy poczuł Pan, że wybrał właściwą drogę, że w tym zawodzie powodzenie będzie Pana udziałem?

Nigdy nie miałem pewności, czy powodzenie będzie moim udziałem i nie myślałem o tym. Nie miałem zbyt wielkich oczekiwań wobec tego zawodu. On sam w sobie tak mnie zajmował i tak mnie cieszył, że to, co spotykałem po drodze w pełni mnie satysfakcjonowało. Miałem szczęście do ludzi, a co za tym idzie, do propozycji. Grając w swoim pierwszym filmie - „Wielkiej majówce” - poczułem, że to jest to, co powinienem robić. Miałem różne pomysły na życie, głównie muzyczne. Tuż po maturze zdawałem wcale nie do Szkoły Teatralnej, ale do Szkoły Muzycznej w Katowicach na Wydział Wokalny. Szczęśliwie, jak się okazało, nie zostałem przyjęty. W tym samym czasie występowałem na Festiwalu w Opolu w Koncercie





Debiutów drugą nagrodę. To był rok osiemdziesiąty drugi. A los i tak zdecydował inaczej, bo dzięki Opolu zobaczył mnie Krzysztof Rogulski – reżyser „Wielkiej majówki” i zagrałem w filmie. Wtedy los przeważał na tę stronę – zdałem do Szkoły Filmowej, choć nie bez kłopotu. I potem samo poszło.

Wiele propozycji ról Pan odrzuca? Częściej z braku czasu, czy dlatego, że Panu nie odpowiadają?

Jest wiele powodów, dla których można odrzucić rolę. Nie będę zmyślał, że na moim biurku leży tyle propozycji, że co dwa dni muszę coś odrzucić. Aż tak dobrze w naszej branży się nie dzieje, nie robi się tak wielu filmów. Co nie znaczy, że narzekam. Mam propozycje – w tej chwili jestem w środku realizacji Teatru Telewizji, również w trakcie realizacji filmu o księdzu Jerzym Popiełuszce i w teatrze w kilku tytułach. Żeby odrzucić rolę, podstawowym kryterium jest to, co jest w tekście. Zdarzyło mi się wielokrotnie odrzucać role, które w moim mniemaniu były mniej ciekawe, a honoraria za nie były dość duże, żeby zrównoważyć ten wybór. Nie jestem jakiś bardzo niezłomny, ale tak bywało i dziś mam pewność, że dokonałem słusznych wyborów. Czasem robiłem rzeczy, które nie wiązały się z żadnymi gratyfikacjami albo tylko minimalnymi. Często grywam u reżyserów nie tylko debiutujących, młodych, ale wręcz będących w trakcie studiów. Choćby po to, żeby zrozumieć, powąchać, zobaczyć czego oni chcą

od kina, od telewizji, w ogóle od sztuki. Jak oni to robią, co ich interesuje. Mam takich ról już kilka w swoim dorobku. Na wybór ról wpływa więc przede wszystkim materiał, a po drugie – w jakiej sprawie coś robimy. Bo jeśli robimy coś po nic, to nie warto się bawić. Jest jeszcze taki aspekt, wydawałoby się banalny, że to jest mój zawód. Ja z tego zawodu muszę utrzymać swoją rodzinę i jeśli będę zmuszony robić coś, co nie odpowiada mojemu gustowi czy wymaganiom, to z powodów merkantylnych będę musiał to robić. Na szczęście takich sytuacji dotąd nie było, więc na pytanie, dlaczego nie grywam w serialach, odpowiadam: nie grywam, bo nie muszę. A jeśliby się kiedyś okazało, że nie ma innych propozycji, to pewnie wezmę taką rolę, bo to jest mój zawód, ja z tego żyję.

Zauważyłam ostatnio trzy filmy z Pana udziałem, powstające lub niedawno powstałe, realizowane właśnie przez osoby mające niewielki dotąd dorobek w branży filmowej. Mówię o „Boisku bezdomnych” Kasi Adamik, „Nadziei” Stanisława Muchy, „Balladzie o Piotrowskim” Rafała Kapelńskiego.

Można też do tej grupy zaliczyć film „Popiełuszko”, dlatego że Rafał Wieczyński, choć nie jest



debiutantem, w swoim dorobku ma kilka filmów dokumentalnych, ale jest to dopiero druga jego fabuła, a pierwsza na taką skalę. Bardzo chciałem spotkać się z Rafałem Kapelińskim, ponieważ widziałem jego film „Emilka płacze”. Silnym argumentem za tym, żeby zagrać w jego „Balladzie o Piotrowskim” był też fakt, że główną rolę grał Krzysiek Kiersznowski, którego bardzo cenię, lubię, zawsze chciałem się z nim spotkać na planie. I w tym filmie zagramy we dwóch. A „Boisko bezdomnych” Kasi Adamik to świetny scenariusz. Nie jest również bez znaczenia, że Kasia jest córką Agnieszki Holland i Laco Adamika, z którym przecież wielokrotnie pracowałem. A jeszcze do tego temat – z pogranicza sportu, w dość szczególny sposób ujęty – a ja jestem przez całe życie kibicem piłkarskim. W sprawie filmu „Nadzieja”: Staszek Mucha zadzwonił do mnie, że ma scenariusz Krzysztofa Piesiewicza, z którym pracowałem parę razy jeszcze za życia Kieślowskiego, więc było oczywiste, że się zgodziłem.

Czy, kiedy była w Częstochowie restauracja Prohibicja, odwiedzał Pan (oraz pozostali współwłaściciele) swój lokal w myśl zasady: „pańskie oko konia tuczy”?

Owszem, byliśmy tutaj parę razy. Okazuje się, że chyba zbyt rzadko, bo nie ma już Prohibicji, to przedsięwzięcie, niestety, padło. Mieliśmy kilkuletnią przygodę z gastronomią, która się zakończyła. Zawsze to miłe poprobować sił w zupełnie innej dziedzinie życia. Tę przygodę kontynuuję w inny nieco sposób Marek Kondrat, sprowadzając i sprzedając wina. Zna się na nich. Jestem pełen szacunku dla niego, że sobie znalazł taką fantastyczną pasję jako rodzaj odskoczni od zawodu, jaki na co dzień wykonuje. Dla mnie odskocznią jest muzyka. Ale zdaje się, że wśród artystów nie ma wielu biznesmenów, bo to są dwie dziedziny, które może nie są sprzeczne, ale wymagają różnych cech charakteru i trudno je połączyć.

Co jeszcze nowego z Pana udziałem jest w przygotowaniu?

Od nowego roku kalendarzowego zaczniemy w Teatrze Narodowym próby do „Iwanowa” Antoniego Czechowa w reżyserii Jana Englerta z bardzo interesującą obsadą – Januszem Gajosem, Anną Seniuk, Karoliną Gruszką – do której również pan Andrzej Łapicki dał się zaprosić po długiej, długiej przerwie w występach na scenie. Trwa realizacja filmu o księdzu

Jerzym Popiełuszce, całkiem niedawno mieliśmy zdjęcia na Jasnej Górze. Kończę Teatr Telewizji w reżyserii i na podstawie scenariusza Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej. Niezwykle ciekawa rzecz – o panu Jerzym Pawłowskim, szablście wszechczasów, który był uwikłany w afery szpiegowskie i w latach siedemdziesiątych został skazany na 25 lat więzienia. Mam przyjemność grać pana Pawłowskiego – trudna rzecz, ale bardzo ciekawa, ze znakomitą obsadą: Dominika Ostałowska jako żona Pawłowskiego, Andrzej Chyra w roli jego „przyjaciela” od szpiegowania, Daniel Olbrychski jako główny przesłuchujący po aresztowaniu. Niebawem lecę do Nowego Jorku robić krótki film z Bartkiem Raińskim, reżyserem polskiego pochodzenia. Ma to być początek dużego projektu, na którego rozwinięcie będziemy szukać budżetu. I mam nadzieję, że dwa teksty sceniczne Łukasza Wyleżałka złożone w Teatrze Narodowym zostaną zaakceptowane przez Jana Englerta i doczekają się tam realizacji, być może w reżyserii autora, czego wszyscy byśmy sobie życzyli, gdyż są to naprawdę świetne teksty.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia m.in. w Częstochowie i okolicach:

„Darmozjad polski”, film fabularny, 1997, reż. Łukasz Wyleżałek

„Demony wojny według Goi”, film fabularny, 1998, reż. Władysław Pasikowski

„Zorka”, Teatr Telewizji, 2006, reż. Łukasz Wyleżałek

„Popiełuszko”, film fabularny, 2007/2008, reż. Rafał Wieczyński

Fotografie Piotr Dlubak



JAZZOWY WEEKEND

Dawno nie było w Częstochowie tak znakomych koncertów jazzowych. Jakże różne w swej interpretacji, przyciągnęły całą rzeszę zagorzałych fanów, ale i nowych słuchaczy, co może świadczyć o tym, że muzyka jazzowa się nie starzeje a jest ponadczasowa.

W piątek 11 stycznia, w ramach programu „Jazz kameralnie” w sali OPK „Gau-de Mater” zagraли Włodzimierz Nahorny – fortepian, Andrzej Łukasik – kontrabas i Janusz Szrom – śpiew.

Artyści zaprezentowali utwory J. Przybory i J. Wadowskiego w nowej jazzowej aranżacji.

W sobotę 12 stycznia w Klubie Jazzowym „Paradoks” miłośników standardów nowoorleańskich przyciągnął koncert dwukrotnych zdobywców Złotej Tarki, częstochowskiej formacji Five O’Clock Orchestra. Lider zespołu Tadeusz E. Orgielewski wspólnie z zespołem dźwiękami swojej muzyki przeniósł nas do Nowego Orleanu początku lat dwudziestych ubiegłego wieku.



Zbigniew Burda

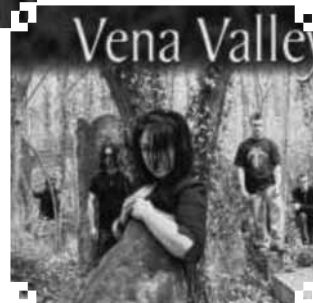
KONCERTY I PŁYTY

Nuda, nic się nie dzieje – to slogany częstochowian. Czy to prawda? Czy mieszkańcy zastanawiają się, co dzieje się na regionalnej scenie muzycznej? Istnieje ogólna świadomość, że kilka gwiazd muzycznych krajowej czołówki wywodzi się z Częstochowy, np.



T. Love, Formacja Nieżywych Schabuff czy Habakuk, który od kilku lat jest gwiazdą znaną i lubianą.

W ostatnim czasie częstochowska scena muzyczna przeżywa renesans. Pojawiają się liczne grupy. Koncertują, utrzymują się krócej lub dłużej, niekiedy latami. Potem owocują płytą, teledyskami, koncertami. Do cieszących się popularnością młodych grup należy **Nefre**. Formacja, łącząca umiejętnie kilka stylów, wydała niedawno płytę pt. „**Śluchaj**”, dostępną na terenie całego kraju. Ukazał się teledysk do piosenki „Kto wie”, dzięki której grupa jest rozpoznawalna przez szeroką



publiczność, oraz kilka innych videoclipów promujących zespół.

Rok temu ukazała się doceniona i zauważona na ogólnopolskim rynku szantowo-folkowym płyta **Talizman**, częstochowskiej formacji **Drake**. Grupa muzyków – żeglarzy, jak sami mówią, gra see folk czyli folk morski, mocno zakorzeniony w tradycji irlandzkiej i szkockiej.

Na uwagę zasługują również takie zespoły, jak **Cała Góra Barwinków** z Kłobucka oraz grający rock gotycki **Vena Valley** z Częstochowy. Pierwszy z wymienionych składów jest obecnie w ogólnopolskiej trasie koncertowej promującej płytę „24 godziny”. Grają już kilka lat i gościli na wszystkich ważnych festiwalach rockowych i reggae w kraju. Właśnie nagrali już trzecią płytę, tym razem koncertową, pt. „Od zmierzchu do świtu”. Reprezentują profesjonalny poziom muzyczny oraz liryczny. Często goszczą w miejscowych klubach muzycznych.

Warto zwrócić uwagę także na formację **Liarman**. O głębokich tradycjach muzycznych sięgających czasów grup **Rejs**, **Defakty**, **Jura** i działalności **Loco Richtera**. Wokalistka Liarman’a, Susana Rasso wraz z innymi twórcami zainicjowała niezwykle interesujący projekt muzyki kubańskiej Sumaluche.

W ostatnim czasie reaktywowała się grupa **Nata-nael**, która już kilka lat temu zachwycała świeżym, dobrym reggae.

Dźwięki i piękne melodie rozchodzą się po ulicach i klubach naszego miasta. Wystarczy zatrzymać się i posłuchać.

Rafał Salamucha

KWARTET SMYCZKOWY

Podobno muzyka łagodzi obyczaje. Chyba tak, choć we mnie wywołuje przede wszystkim wywołuje wzruszenie, zachwyt, ożywienie powracającymi wspomnieniami. Potrafi również wywołać łzy i strącić w otchłań smutku. A o tym decyduje determinowany codziennością nastrój i... gatunek muzyki.

Od kilku lat w Częstochowie odbywa się Festiwal Wiolinistyczny im. Bronisława Hubermana. W czasie ostatniego gościliśmy m.in. światowej sławy Kwartet im. Dymitra Szostakowicza, w składzie: Andrei Shislov – I skrzypce, Sergei Pishchugin – II skrzypce, Feodor Belugin – altówka, Alexander Korchagin – wiolonczela.

Występ zespołu nie tylko zachwycił, ale na długo pozostawił mnie w stanie ekstatycznego osłupienia.

Koncert poprzedził słowem o wykonawcach i prezentowanych utworach znawca tematu, Stefan Munch, który zwrócił uwagę obecnych na fakt, że muzykowanie w kwartecie, to najtrudniejszy rodzaj uprawiania muzyki zespołowej. Jednak podziwiając wirtuozerię Andrei'a Shislov'a i obserwując pozostałych muzyków, można było mieć wrażenie, że stanowią jedność, nie tylko brzmieniową, ale i instrumentalną. Z maestrią wykonane kwartety Aleksandra Borodina (Nr 2 D-dur), Dymitra Szostakowicza (Nr 4 D-dur op.83) i Maurice'a Ravela (F-dur), uniosły mistrzo-

stwem gry w krainę duchowych przeżyć i wzruszeń, wymykających się jakiegokolwiek werbalizacji.

Obecna, w wyjątkowo skromnej liczbie, publiczność sali kameralnej przygotowana do przyjęcia tej niecodziennej dawki sztuki przez duże S, wykłaskała bis, którym stał się brawurowo zagrany utwór Beli Bartoka, także nagrodzony huraganem braw.

Koncert stał się też okazją do refleksji napawającej smutkiem. Jak mała jest popularność takich wydarzeń. Melomanów na sali można było zliczyć na palcach najwyżej dwóch rąk, a przymuszona do udziału w koncercie młodzież szkoły muzycznej, nieustająco szepcząca, chichocząca i kręcąca się, rozpraszała możliwość skupienia na wyjątkowym, niepowtarzalnym i niezapomnianym występie Kwartetu.

Obserwacje te odsłaniają nie tylko niski poziom kultury muzycznej, ale przede wszystkim elementarnej kindersztuby. Tak więc, muzyka czasem łagodzi obyczaje, ale chyba musi to trochę potrwać.

Joanna Grochowska



Fot. Zbigniew Burda

Tadeusz Gieryski

Elżbiecie Cichli

* * *

Taką ładną miała fryzurę –
sweter szary, spódnicę ciemną
osmutniały aksamit oczu
w których latami odkładały się
troski i strapienie

Pisała wiersze. najpierw
gęste, zawile,
wynikłe z jej wnętrza jakby
z pokładów torfu,
splecione, zakochane w sobie
aż po mgłę,
po fiolet Narcyza

Niepewnie migotały ogniki znaczeń.

Potem
rozjaśniły się zawilce słów
powywracały spiętrzenia metafor
odstąpiły od siebie
na dystans ironii i żartu –
ich przesubtelnione usta
nabrały wiedzy o życiu i jego
twardych prawach

Zawsze jednak
na dzień każdego
pulsowała mała kropla ciemności
znak rozpoznawczy Elżbiety C.

Tadeusz Gieryski

Do żony

a jednak trzeba jeszcze kochać
wszystko co kiedyś było tak nieważne
papużki sąsiadów balkon na 6 piętrze
biedronkę spacerującą po czyjejs dłoni
deszcz pędzący jak ekspres cynkową rynną
i pajęczynę gwiazd nad głową
w pogodną noc gdy jesteś obok

* * *

wielki księżyc
nie ten z Werony,
przytaszczył się nad bloki

diabli wiedzą w jakim kolorze
pomarańcza Lorki?
cegła Iwaszkiewicza czy
chłodna czerwień samobójców?

Konkurs poetycki „Jesienne osvajanie słów”

II Nagroda

Aleksandra Michałowska

Gazeta

Gazeta to jest system bardzo złożony.
Składa się z poziomów od strony pierwszej do ostatniej.
Na każdym poziomie jest odpowiednia ilość
odpowiednio ważnych mrówczych liter.
Każda z nich zajmąwszy właściwe sobie miejsce
więcej się z niego nie rusza.
To jest właśnie sens tego całego gazeciarskiego systemu.
Gazeta – mrówisko pełne mrówczych liter.

Aleksandra Michałowska – uczennica II klasy LO im. M. Kopernika i V klasy II stopnia Państwowej Szkoły Muzycznej im. M. J. Żebrowskiego. Uczestniczka konkursów literackich, językowych, recytatorskich. Interesuje się historią, poezją i muzyką. Gra na gitarze i fortepianie.

Konkurs poetycki „Jesienne osvajanie słów”

Joanna Dymarek

* * *

Plastikowym dziewczynkom
nie wolno przeklinać
tylko siedzieć cichutko i kształtnie
wsłuchiwać się w literaturę kłamstwa
Plastikowym dziewczynkom
trudno marzyć o aniołkach
to nie mieści się w głowach
plastikowych niań schizmatyczek
Plastikowe dziewczynki
myślą o księciu na stu dwudziestu koniach mechanicznych
i o różach... ewentualnie o kaktusie
Plastikowym dziewczynkom
wolno egzystować
w toksycznym świecie
made in plastic

Joanna Dymarek – uczennica II klasy VII LO im. M. Kopernika. Zainteresowania: książki oraz muzyka reggae. Jury konkursu „Jesienne osvajanie słów” oceniło jej wiersze jako „obiecujące”. Przed kilkoma tygodniami zdobyła I Nagrodę w ogólnopolskim konkursie poetyckim.

DIES IRAE

*Niebiosa, słuchajcie, ziemio, nadstaw uszu, bo Pan przemawia:
Wykarmiłem i wychowałem synów, lecz oni wystąpili przeciw Mnie.*



Pan skierował do Jonasza, syna Amittaja, te słowa: Wstań, idź do Niniwy - wielkiego miasta - i upomnij ją, albowiem nieprawość jej dotarła przed moje oblicze. Wtedy wejdą do jaskiń skalnych i do jam podziemnych ze strachu przed Panem, przed blaskiem Jego majestatu.



*Oto dzień Pański nadchodzi okrutny,
najwyższe wzburzenie i straszny gniew,
żeby ziemię uczynić pustkowiec i wygładzić
z niej grzeszników. Biada tym, którzy zło
nazywają dobrem, a dobro złem, którzy
zamieniają ciemności na światło, a światło
na ciemności, którzy przemieniają gorycz
na słodycz, a słodycz na gorycz!*

*Zaiste Jeruzalem
upada i Juda się wali,
bo przeciw Panu są ich
słowa i czyny. Czyż lud
nie powinien radzić
się swoich bogów? Czy
nie powinien pytać
umarłych o los żywych?*



Wiele domów ulegnie ruinie: wspaniałe i wygodne - będą bez mieszkańców! Na zawsze opuszczone miasta będą pastwiskiem dla trzód, które się tam pokładają, i nikt ich nie spłoszy. Upadł, upadł ów Babilon wielki.



Lecz Pan czeka, by wam okazać łaskę, i dlatego stoi, by się zlitować nad wami, bo Pan jest sprawiedliwym Bogiem. Tak mówi Pan: Słyszałem twoją modlitwę, widziałem twoje łzy. Jeśli podasz swój chleb zgłodniałemu i nakarmisz duszę przygnębioną, wówczas twe światło zabyśnie w ciemnościach, a twoja ciemność stanie się południem.

Zbudują domy i mieszkać w nich będą, zasadzą winnice i będą jedli z nich owoce. Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z kozłeciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą spolem i mały chłopiec będzie je poganiał. Wychwalam Cię, Panie, bo rozgniewałeś się na mnie, lecz Twój gniew się uśmierzył i pocieszylesz mię! Chwalcie Pana! Rozgłaszajcie Jego dzieła wśród narodów, przypominajcie, że wspaniałe jest imię Jego! Śpiewajcie Panu, bo czynił wzniosłe rzeczy!



*Fotografie: Zbigniew Burda
(Ul. Siedmiu Kamienic 21)*

*Tekst: M. P. Rawinis
(na podst. Ks. Izajasza, Ks. Jo-
nasza i Objawienia św. Jana)*

Prezentowany tekst jest fragmentem zbioru opowiadań pt. „Cztery piętra”, przygotowanego do publikacji książkowej. To opowieść o losach mieszkańców częstochowskiej kamienicy - Roiu, Kseni, Marcepanie, Poli i innych. Ludzie ci znają się od dawna, a jednak nie wiedzą o sobie zbyt dużo. Wsłuchajmy się w ich słowa, w ich tajemnice...

Cezary Nowakowski

ROI

Mówią na mnie Roi. Mówią tak wszyscy. Dzieciaki, sąsiedzi, nawet ta małpa, Ksenia spod dziwiątki. W tej dziarsko brzmiącej ksywie nie ma jednak nic królewskiego. Przeciwnie, przydomek ten niesie w sobie sporo gówna, bo tak naprawdę kiedy mnie nim obdarzono brzmiał znacznie bardziej boleśnie: Hemoroid.

Czterdzieści lat temu byłem aktorem. Marnym aktorzyną, w marnym teatrze. Lubiłem tę robotę. Kiedy szmata szła w górę, a scenę zalewał gorący blask reflektorów doznawałem niemal erekcji. Mówię niemal, bo po tym co mnie spotkało potem, ta teatralna twardość wacka wydaje mi się dziś co najmniej problematyczna.

Nasz teatr produkował knot za knotem. Ruską miernotę rewolucyjną albo trywialną klasykę. Na przedstawienia spędzano szkoły i przodowników pracy. Zwyczajny widz zaglądał tu rzadko, a potem – najczęściej – mijał ten przybytek szerokim łukiem. Ja jednak kochałem tę budę; robiłem wszak sztukę!

Wszystko byłoby dobrze, gdyby naszemu dyrektorowi nie zachciało się eksperymentów. Te jednak wymusili na nim młodzi. Ludzie mówili potem, że to studenci, ale mnie się wydaje, że korzenie tej grupy były zupełnie gdzie indziej. W SB lub w CIA, gdzieś w mrokach smrodliwych.

W dzień premiery te łby wycięły nam numer, taki chamski figiel. Dublowali kwestie spektaklu i grali, jakże dobrze grali. Rozstawieni wśród publiki, w przejściach, przy kulisach. Pryszczate gnojki, gnidy.

Dyrektor był blisko zawału. Już wcześniej w komitecie słyszał gniewne głosy sekretarzy, że czas z teatrem skończyć, zamienić go w dom kultury. Dla ludu. Po tym numerze był już pewien najgorszego, tak jak i swojej doli wypieprzonego z roboty nieudacznika. Los okazał się jednak łaskawszy. Klę-

ska zamieniła się w triumf. Prasa odczytała przedstawienie jako odkrywczy, twórczy eksperyment. Jako sukces, sukces, sukces.

Nie poszliśmy jednak ścieżką Grotowskiego. Dyrektor został. Zostali też ci młodzi. Za to nas, aktorów starego zespołu, wywalono na bruk. A teatr wkrótce potem znów zszedł na psy. W pół roku później znów grali knoty, a młodzi utopili figle w wódzie i rutynie. W szarej rzeczywistości go-mułkowszczyzny.

Nie umiałem żyć samotnie. W ciszy, bez sztuki, bez publiczności. Szukałem więc ludzi i ich znajdowałem. W zaplutyh knajpach ulic Jasnogórskiej i Kawiej elektryzowałem miłośników siwuchy tekstami Moliera, Witkacego, Ioneski. Elektryzowałem tak skutecznie, że i w gębę zarobiłem i w dupę kopniaka też. Aplauzów nie było. Tylko śmiech, pukanie w czerep, no i chłód obojętności zimnych nówek do kielicha. Otulałem się wtedy czarną peleryną z trypy, którą – mimo dziur od moli – nabyłem onegdaj w Krakowie, trawiony zawodową zazdrością. I uciekałem.

Tak trafiłem na cmentarz, na Kule. Tu mnie słuchano. W milczeniu, powadze, nastroju. Były też kwiaty, mnóstwo kwiatów. A wieczorem migotliwe światła rzucały cienie na proscenium życia. Recytowałem mowy pochwalne, ody. Improvizowałem. Tylko gaży nie było. No i braw też nie.

Jesienią pięćdziesiątego dziewiątego w końcu mnie dupnęli. A słowo to oddaje najlepiej tragizm tej wpadki i w sposób najwłaściwszy ukierunkowuje dalszy ciąg wydarzeń. Chowali właśnie kogoś ważnego, kogoś z kręgów skórzanych płaszczy i kapeluszy. Odczekałem taktownie. Kondukt się rozproszył; ludzie zniknęli w listopadowych mgłach. Mogłem już nowemu ofiarować SŁOWO, tyradę słów. Od szeptu i westchnień po koloraturę emocji. Byłem naprawdę wielki.

W chwilę później leżałem jednak z nosem w cmentarnej glinie, a szyję uciskał węzeł z mojej – brutalnie zeszmaczonej – peleryny. To zapóźnieni żałobnicy wzięli mnie za hienę. A potem za łeb, za dupę wrzucili mnie do blaszanego pudła milicyjnej suki. I jazda.

Do paki jednak nie trafiłem. Zawieźli mnie do Instytutu Resocjalizacji Stosowanej, bo jak się okazało był i taki w naszym świętym mieście, gdzieś na uboczu. Rzecz jasna, oficjalną nazwę miał całkiem inną, bardziej przystającą do robotniczo-chłopskiej rzeczywistości. Skup jaj nr 6 – tak się nazywał.

Skup jaj, dobre sobie! Jeśli już to zabór jaj, ukręcanie czy miażdżenie jaj. Nie skup! Ta wysunięta na ideologicznym froncie placówka

była przyczółkiem w stronę ludu miasta; nazwą zaś również – jak mniemam – ku chłopom. Tak dla równowagi społecznego sojuszu. Tam też przeszedłem, całkiem niedobrowolnie, trzy etapy tego, co szumnie nazywano resocjalizacją: diagnozę, budowanie zrębów marksistowsko-leninowskiej postawy i wzbudzanie bezgranicznej gotowości służenia socjalistycznej ojczyźnie. Wątki edukacyjne przeplatały się twórczo, tak by monotonii żadnej nie było. Owe sploty metodyczne dyktowała też zawadiacka fantazja klawiszy, funkcjonariuszy czy jak ich tam zwać. Mieli chłopaki pomysły, oj mieli! I ani przez chwilę nie wahali się z tych pomysłów korzystać.

Na początek oklepali mi michę. Równo, z fachową rzetelnością. Spodziewałem się takiego przyjęcia. Opuchniętymi wardzelami tłumaczyłem się z mojej miłości do sztuki, z tęsknot, z trawiącego mnie bólu. A potem ... graliśmy bezbłędnie role. Gadałem, charczałem i prosiłem. Błagałem. A oni lali po mordzie w milczeniu.

Przetrwam, myślałem z nadzieją. Dzień, dwa – będę w domu. A to był tylko prolog, zawiązanie akcji. Po tygodniu niewidzialny reżyser zaordynował jednak zwrot, zamianę ról. Teraz ONI gadali, a ja milczałem zamknięty w żółto-fioletowej dyni własnej głowy. Byłem ziarnkiem zagubionym w wydrążonej skorupie. Nie rozumiałem prostych pytań, nie udzielałem jeszcze prostszych odpowiedzi. Nie poznawałem dźwięków.

W celi jednak, na obszczanym sienniku, nabrałem z wolna rutyny. Wsłuchiwałem się w rady takich jak ja. Zgarniętych z ulicy, ze zbiegowiska. Świtem bladym, białym rankiem wytrząśniętych z domowego puchu. Łysawego grubasa zamknęli razem z bańką na mleko, z czasem coraz bardziej śmierdzącą. A kolejarza z czkawką. Ta zaś, uparta cholera, nie ustępowała ani na chwilę.

Przyznaj się, powiedz im wszystko, namawiał mnie pewien blondyn. Oni i tak wiedzą o tobie wszystko, dodawał z pewnością w głosie. Różnij głupa, zmyślaj, radził grubas.

No to zacząłem zmyślać. Znów grałem, tworzyłem sztukę, byłem sobą. W zeznaniach przemierzałem miasto – wkradałem się w jego zakamarki i tajemnice. Konspirowałem. Hojnie rozdawałem hasła i pseudonimy. Obalałem siłą ustrój. I wicchrzyłem, wicchrzyłem.

Krótko to trwało. Sprawdzili. Obsobaczyli. Znów dali po mordzie a i nerkę odbili (do dziś sikam lewoskrętnie, z lekko krwawą pianą). Jakoś koło Nowego

Roku, prowadzący moją sprawę kapitan Lech powiedział, że nie robię postępów, że czas mnie odetkać. Podzieliłem jego pogląd w nadziei, że czas już do domu. Ale nie. Oznajmił mi, że będę siedział.

Zapadł więc wyrok; wyczesali mnie zaocznie, pomyślałem. Myliłem się, jakże bardzo. Miałem siedzieć. Miałem siedzieć na nodze. Miałem siedzieć na nodze od stołka. Gdy to pojąłem już tylko jedna myśl była dla mnie ważna. Czy noga będzie okrągła, toczona czy czterogranna?

Była z kantami pełnymi okrwawionych drzazg. Widać pomagała odetkać się nie jednemu. Przez kilka minut w przykucu wisiałem nad szczytem owej nogi, pragnąc uniknąć losu Tuhaj-bejowego syna. Uda mi drżały, paliły. A zwieracz tyłkowej rozety pracowicie zaciskał się, by za nic nie przyjąć niechcianego gościa. Przyjął jednak, ku uciesze Lecha a mojej rozpacz. I kiedy pierwsze, gorące krople czerwieni spłynęły po stołku, kapitan od niechcenia rzucił słowo, które odtąd miało być moim drugim ja: Hemoroid. Tak też zapisano czerwonym ołówkiem na tekturze teczki, która odtąd towarzyszyła moim rozmowom z chłopcami z SB.

Przechodziłem kolejne etapy wtajemniczenia. Odbierałem codzienne porcje naświetlań, co dla mnie nawykłego do blasku rampy było tylko nostalgicznym wspomnieniem. Oswajałem się z rekwizytami. Pistoletami, pałą i kastetami. Wsłuchiwałem się w dźwięk zębów wypluwanych do blaszanego nocnika. Hartowałem się i czekałem na najgorsze. Na finał.

Ten zaś przyszedł niespodziewanie. W naszej celi pojawili się nowi. Jedni wystraszeni, inni zadziwieni. Trafił tu też teatralny sufler, z którym pijałem piwo „U Zygmunta”. Ten wiedział co to słowo, co to ostrożność. Pisywał do mnie na skrawkach „Trybuny”, mimo że zajmował sąsiednią pryczę. Strzępki otuchy, wisielczego humoru. Zjadałem te papierki, wzmacniając w sobie ducha internacjonalistycznej postawy. Raz jednak nie zdążyłem, przygwożdżony nagłym wtargnięciem klawisza.

Sunąłem po posadzce ciągnięty za nogi, tylekroć przemierzaną drogą do pokoju przesłuchań. Nie na tyle szybko, by nie zdążyć podzielić się trefnym papierem ze szcurem, przypadkowym świadkiem mojej eskapady.

Rozebrali mnie do golizny. Przetrzepali zapocone ciuchy. Wrzaskom i groźbom Lecha nie było końca. Grypsera była tu najcięższą zbrodnią. I wtedy czterogwiazdkowy heros wpadł na pomysł spenetrowania mego domniemanego sejfu, ukrytego – jak sądził w swej dociekliwości – w mrokach dupy. Uczynił to

zachłanną ręką podkomendnego, dla subtelności zabiegu, odzianą w gumową rękawicę.

To wtedy moje oczy wyszły w całej swej krasie z przynależnego im miejsca pod powiekami. Wyszły i tak już zostały do dzisiaj. To wtedy przypomniały mi się wszystkie przeczytane teksty, od Porwania w Tiutiurlistanie po Mahabharatę. To wtedy memu rykowi, a i zawstydzeniu, towarzyszył gargantuiczny wzwód. Porażająca sztywność pała Azji. To, co tam znaleźli, nie było zaiste korespondencją, tylko smętną resztką strawionej kartoflanki okraszona posoką. Po raz kolejny zasłużyłem na swe miano. Hemoroid, Hemoroid, wymawiali ze śmiechem i niemal z czułością.

Ta - jakże wprawnie przeprowadzona wiwisekcja - była moim wyzwoleniem. To nic, że to co miało być we mnie, w środku, miesiącami wypadało i zwiślało niczym wyblakły rękaw buchaltera. To nic, że moja brodata głowa wykrecona przemocą była jakby brakującym ogniwem do półprofilowych portretów Marksa, Engelsa i Lenina.

To nic. W kilka dni później byłem wolny. Podpisałem glejt, że owszem będę informował. Że będę czujny i skory do dzielenia się wiedzą. Z moich usług nie skorzystano zresztą nigdy potem. Wytrzeszcz oczu ukryłem za czarnymi okularami. A pelerynę zamieniłem czym prędzej na jesionkę w jodełkę. W tłumie byłem bezpieczny, zespólny.

Na scenę nie wróciłem już nigdy. Choć może i szkoda, bo oczy podobne moim obejrzałem po latach w filmach Mela Brooksa. Oczy Marty'ego Feldmana.

Te oczy przez następne lata pracowały na mnie, bo też ich przenikliwość stała się niepomiarowa. Robotę znalazłem w rozlewni tanich win. Siedziałem przy taśmie i wpatrywałem się w podświetlany ekran, przed którym przesuwają się butelki wypełnione sikaczem. Wyszukiwałem te felerne, pęknięte lub z nadzieniem w postaci zagubionej w moszczu myszy.

W rok później do naszego domu wprowadził się, na drugie piętro, kapitan Lech. To jego kilkuletnia córka, Andzia zaczęła na mnie mówić Roi. Zapewne nie radziła sobie z zasłyszonym od ojca trudniejszym słowem Hemoroid. I tak już zostało.

Kiedy w naszym domu zaczyna się sezon jeżdżę do lasu. W zagajnikach patrzę na grzyby. Na maślaki i rydze. Delektuję się ich połyskliwą skórka, nadobnością nóżek i kapeluszy. Nie zbieram ich. Tylko patrzę.

Zimą dostaję od Marcepany słoiczek marynowanych. Wtedy wspominam lata w rozlewni i octową kwasność swego życia. A grzybom czasem się żalę.

C. Nowakowski

Janusz Piernikarski

Farmer Blacharczyk

Z cyklu: Opowieści częstochowskie

Któregoś lata, odpoczywając po kolejnym roku studiów, postanowiłem zarobić nieco grosza. Ponieważ na co dzień siedzę przy biurku, poszukiwałem pracy fizycznej. W gazecie znalazłem ogłoszenie: „poszukiwany pomocnik do pracy w gospodarstwie rolnym”. Zadzwoiłem pod podany numer i porozmawiałem z gospodarzem, niejakim Blacharczykiem. Płaca była uczciwa, do tego dochodziło wyżywienie i pokój. Gospodarstwo znajdowało się 40 kilometrów od mojego miasta, ale uznałem, że większa atmosfera będzie miłą odmianą po miesiącach siedzenia w śródmieściu.

Wyznaczonego dnia pojechałem na farmę. Podwiózł mnie Jasiu, siostrzeniec gospodarza, który jechał nie tylko odwiedzić wujka, ale też pomóc mu w gospodarstwie. Chłopak był ciut młodszy ode mnie i wyglądał na dość bystrego. Był na pierwszym roku mechatroniki, ale mimo to wcale nie używał przekleństw.

- Wujek jest tradycjonalistą - opowiadał. - Nie ma nawet telefonu komórkowego, tylko zwykły, stacjonarny. Szczyt techniki na jego farmie to ciągnik, ale i tak rzadko go używa. Nastaw się na to, że będziesz musiał różne rzeczy robić łopata, grabiami, motyką albo własnymi rękami.

- I siekierą - dodałem

- Siekierą nie. Wujek uważa mnie nadal za dzieciaka. I ciebie pewnie też. Nigdy nie da mi siekiery, żebym sobie czegoś nie urąbał. To samo z kosą. Ale i tak, jak zasypiał po obiedzie, szedłem na dwór, brałem kosę i trenowałem, bo mam kompletnego świra na punkcie tego narzędzia.

Jasiu w czasie jazdy zadzwonił do Blacharczyka, że już podjeżdża. Gdy jednak samochód zatrzymał się przed bramą, okazała się ona zamknięta na kłódkę.

- Dziwne, zawsze otwiera - zauważył.

Dopiero po chwili na podwórzu pojawił się gospodarz. Był to mężczyzna po sześćdziesiątce, z silnym wąsem, utykający na lewą nogę.

- Dobry! - zawołał do nas. - Nie otworzyłem, bo mi klucze zginęły.

Przywitałem się z Blacharczykiem, a gdy wszedłem do domu, poznałem także jego żonę. Pokazała mi pokój, który miałem zajmować. Warunki były nieoczekiwanie dobre. Spodziewałem się jakiegoś slumsu albo gołego materaca na podłodze, a tu peerełowski tapczan - toż to prawie szczyt luksusu!

Cały dzień spędziłem na oglądaniu gospodarstwa. Blacharczyk zostawił mi dzień na aklimatyzację. Zresztą i tak nie mógł wyjechać ciągnikiem na pole, bo nie miał czym otworzyć bramy. W samej zagrodzie też było co robić. Farmer posiadał kilka krów oraz stadko kur. Miał dużego kudłatego psa oraz kota, który na ogół przebywał poza gospodarstwem – i nie dziwota, skoro Blacharczyk karmił go głównie obierzynami z kartofli. Doić krów nie musiałem, bo przyzwyczajone do ręki gospodarza, wszystkim innym dojarzom się wyrwały i wytrącały garnek na mleko.

- Jak wujek poszedł do szpitala, to dopierośmy mieli ścieżkę zdrowia z tym bydłem! – wyjawiał Jasiu.

Za to zawsze znalazło się jakieś siano do schowania przed deszczem, jakieś grządki do podlania albo gnój do wyniesienia. Zapowiadało się, że jednak zarobię, a jeśli nie, to przynajmniej spędzę kilka dni na wsi.

W gospodarstwie Blacharczyka był sad. Stałem tam i próbowałem zidentyfikować gatunki poszczególnych drzew, gdy usłyszałem głos samego farmera.

- Widziałeś srokę?

- Nie widziałem.

- Tu gdzieś lata. Czasem można ją zobaczyć. To bydlę dopiero, pewnie to ona mi wyciągnęła klucze z kieszeni... Jak dorwę, to łeb ukręcę.

Gospodarz zamilkł za chwilę, coś go trapiło.

- Taka dobra kłódka, jeszcze ruska... I chyba przyjdzie ją przepiłować, a na rynku już się takiej nie kupi, teraz to byle co produkują.

Jestem co prawda miastowy, ale w moim mieście też żyją sroki. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób ptak, nawet dość sprytny, mógł wyciągnąć komuś klucze z kieszeni. Gdyby leżały na wierzchu, to co innego. Ale w końcu ja tu przyjechałem do roboty, a nie prowadzić edukację ornitologiczną.

Wobec tego pracowałem. Zgodnie z przewidywaniami, w samym gospodarstwie, bez wyjeżdżania na pole, znalazło się wystarczająco dużo zajęcia dla trzech ludzi. Oprócz tego, co już wymieniłem chwilę wcześniej, angażowałem się w wykopywanie dołów pod pomidory, smołowanie dachu kurnika, a nawet w robotę winiarską. Farmer Blacharczyk wyrabiał wino z jabłek i pomarańczy. Pomagałem je przelewać z jednego balonu do drugiego i przy okazji degustowałem. Mocno szło do głowy – prawie okowitka. Ja byłem rad, że spędzę czas w ciekawy sposób i trochę zarobię. Jasiowi zaś wpadła w oko córka nowego sąsiada i koniecznie chciał się przed nią popisać, jak ciężko umie pracować. Dlatego żalił się, że nie jedziemy na pole, gdzie naprawdę harowałyby jak Stachanow jaki.

Po kilku dniach klucz od bramy się znalazł. Nie został wyciągnięty z kieszeni gospodarza przez srokę, tylko leżał sobie spokojnie w kurniku. Jednak odnalezienie klucza nie wpłynęło na charakter robót gospodarskich, bo zaczęły się deszcze i łały przez kilka dni. Potem nadszedł weekend, kiedy to farmer, jak zwykle, ograniczał działalność do minimum, czyli do karmienia inwentarza i obierania ziemniaków. Oraz do degustacji wina, która sprawiła, że po weekendzie nie był w stanie jechać na pole. Wreszcie ustaliliśmy termin roboty polnej na czwartek. Należało wykopać parę kilo marchwi, podczas gdy gospodarz będzie kościł trawę na zielonkę dla krów.

W czwartek obudziłem się wcześniej rano. Leżałem tak sobie, gdy nagle do pokoju zajrzał Blacharczyk.

- Słuchaj, a ty nie brałeś mojej oselki? – zapytał podejrzliwie.

- Po co mi oselka? Przecież nie mam kosy – odparłem zgodnie z prawdą.

Gdy wstałem i zszedłem na śniadanie, uświadomiłem sobie ogrom katastrofy. Kosa musi zostać naostrzona; a bez kosy nie ma sensu jechać na pole. Blacharczyk był sprawnym gospodarzem, jednak nie na tyle, żeby posiadać dodatkowy egzemplarz oselki, i pozostaliśmy uziemieni. To nic, że traktor działał, słońce świeciło, a my z Jasiem aż rwaliśmy się do roboty. Oselki nie było! Dla farmera cała sytuacja stanowiła nieszczęście na miarę pomoru. Chodził jak w transie i zastanawiał się, gdzie też mógł położyć oselkę. Słyszałem, jak mamrotał coś złowrogo o sąsiedzie.

Postanowiłem pomóc Blacharczykowi w poszukiwaniach. Wraz z siostrzeńcem gospodarza podzieliliśmy całą zagrodę na strefy i systematycznie je przetrząsaliśmy. Sam rolnik miał własną metodę poszukiwań, ale i tak wszyscy trzej sprawdzaliśmy niektóre miejsca po kilka razy. Za moją namową Blacharczyk zrekonstruował przebieg wczorajszych przygotowań do wyjazdu na pole. Jednak oselka nie leżała ani w oborze, ani w składziku, ani w szopie na narzędzia. Nie było jej nawet na półce w kurniku, tam, gdzie poprzednio farmer znalazł klucze. W domu także została przeprowadzona kontrola – gospodarz w przypływie desperacji wysunął hipotezę, że położył oselkę pod telewizorem. Wreszcie zwolnił nas z poszukiwań.

Usiadłem sobie na ganku i wygrzewałem się na słońcu, chcąc wykorzystać wolny czas, zanim oselka się znajdzie i ruszymy w pole. Nagle rozległ się krzyk gospodyni:

- Tyś, stary, całkiem zwariował! Akurat mi twoja oselka potrzebna!

Okazało się, że Blacharczyk doszedł do dobrze

znanego etapu, na którym człowiekowi wydaje się, że sprawdził już wszystkie możliwe miejsca. Wówczas zaczyna przeszukiwać te, w których zguba żadną miarą znajdować się nie może – w szafie z pościelą, pomiędzy butami w sieni, a nawet w ustępie.

- Pewnie znowu sroka zabrała, albo talibowie – ironizował Jasiu, zły, że zamiast na ofiarnego robotnika rolnego, któremu żadna praca niestraszna, wychodzi przed sąsiadką na fajtlapę i siostrzeńca fajtlapy. – Kiedyś to dopiero się porobiło, jak jeszcze byłem dzieckiem. Wujkowi zgubił się młotek. Sądził, że mam z tym coś wspólnego, bo obserwowałem, jak robił coś tym młotkiem. Wiercił mi dziurę w brzuchu, aż w końcu, żeby mi dał spokój, sam się przyznałem, że wrzuciłem młotek do studni. Był niezwykle „zadowolony”, że sprawa się wyjaśniła.

Atmosfera na farmie zrobiła się nerwowa. Gospodarz chodził w stanie wręcz histerycznym. Blacharczykowa złościła się na męża, że nie tylko nie umie swoich rzeczy dopilnować, ale jeszcze ją w to miesza. My zaś z Jasiem zaczęliśmy wymyślać najdziwniejsze teorie. Na przykład, że w okolicy ktoś trzymał strusia, ptak w nocy uciekł, dostał się na teren Blacharczyka i zjadł osełkę. Albo że deszcz, który ostatnio padał, był kwaśny – osełka wpadła do kałuży i rozpuściła się. Lub też że we wsi działa konspiracyjny oddział kosynierów, zdobywający potajemnie zaopatrzenie.

Tak czy inaczej, nie dało się już wyjechać na pole. Zaangażowałem się do innej roboty – reperacji płotu od strony drogi. Czynność cokolwiek bezsensowna, bo wszystkie elementy parkanu trzymały się na słowo honoru i zamiast mocować je przy pomocy innych desek, ekonomiczniej wyszłoby postawić nowy płot. Ale pracowałem wraz z Jasiem, bo w końcu chciałem zarobić.

W pewnej chwili przed działką zatrzymał się jakiś samochód.

- Przepraszam panów, na Bierzkowice to jak dojadę? – spytał kierowca.

Jasiu zaczął mu coś tłumaczyć, ale wyteęzał mógownicę, bo bywał na wsi przelotem i słabo znał geografię gminy. W trakcie, gdy starał się ręcznie pokazać podróżnemu, jak jechać, zbliżył się do nas Blacharczyk.

- Panie, a nie widział pan czasem osełki? – zwrócił się do automobilisty. – Bo jak pan tu stoi, to może przypadkiem pan podniósł.

Byliśmy nie mniej zaskoczeni od kierowcy. Zrezygnował z naszej pomocy i pojechał dalej, zdając się na własne wyczucie. My zaś wróciliśmy do pracy.

Wieczorem gospodyni zrobiła najpierw pranie, a potem awanturę mężowi. W kieszeniach koszuli, którą poprzedniego dnia włożył do pralki, znalazła kilkanaście paragonów potwierdzających zakup piwa. Oprócz tego znalazła również osełkę. Widocznie far-

mer, przygotowując się do wyprawy na pole, machinalnie schował to absolutnie niezbędne narzędzie do kieszeni, a kiedy żona zmusiła go, aby na jutro przywdział świeżą koszulę, zapomniał przełożyć.

- A to historia – podsumowałem, siadając na ganku.

- Nie pierwsza i pewnie nie ostatnia – odparł Jasiu, tęsknie wpatrując się w okna sąsiadki. – Pamiętam, jak wujek złamał nogę i musiał chodzić o kuli, to dopiero była chryja, bo ciągle tę kulę gdzieś zostawiał. Innym razem nawet doszło do tego, że sam się zgubił.

Następnego dnia załadowaliśmy się na traktor z przyczepą i ruszyliśmy na pole, które tak naprawdę w połowie było łąką. Jasiu stał na przyczepie, trzymając grabie na ramieniu jak karabin, i głośno śpiewał, chcąc zrobić wrażenie na córce sąsiada. Dotarliśmy wreszcie na pole, zeskoczyliśmy z pojazdu i wzięliśmy się do roboty. Widząc gospodarza ostrzącego kosę, żałowałem, że na tak uroczystą chwilę nie wziąłem aparatu fotograficznego. Gdy Blacharczyk kosił, ja wraz z Jasiem wybierałem ręcznie co większe marchwie. W przerwie napiliśmy się herbaty z butelki po „Luksusowej” i zjedliśmy kanapki z szynką. Napiliśmy dwa druciane kosze marchwią. Po skoszeniu złapaliśmy zaś za grabie i wrzuciliśmy trawę na platformę, podczas kiedy Blacharczyk usiadł sobie pod wielkim kołem ciągnika i popijał piwo.

Powrót był prawie triumfalny, tym bardziej, że akurat młoda sąsiadka wyszła do ogródka i Jasiu w przyływie euforii jej pomachał. Jednakże, co by nie mówić, urobiliśmy się. Dlatego po przyjeździe i rozładowaniu siana poszedłem do pokoju i się zdrzemnąłem.

Spałem kilka godzin, choć na dworze było słonecznie. Obudziłem się o siedemnastej. Wstałem, wyjrzałem przez okno. Przez bramę wjeżdżał Jasiu swym samochodem. Blacharczyk siedział z prawej. Wjechali, zaparkowali, zamknęli bramę. Gospodarz poszedł do kurnika, a jego siostrzeniec do domu.

- Cześć – rzuciłem do Jasia, kiedy wszedł. – Gdzie byliście?

- Musieliśmy podskoczyć jeszcze raz na pole, bo o jednej rzeczy zapomnieliśmy.

- O jakiej? – spytałem, zdając sobie sprawę, że być może ominął mnie kolejny interesujący przypadek pracy fizycznej.

- O osełce.

J. Piernikarski

Marian P. Rawinis

Bocian z naszej ulicy

z *Dziennika podróży do miasta B.*

Nasza ulica kończyła się skrzyżowaniem z Jagiellońską i zakurzonym placem, gdzie zawracały, w powrotny kurs, miejskie autobusy. Wokół stało nieco małych domków na zarośniętych parcelach, ogrodzonych niskimi płotkami ze sztachet, za którymi pleniły się pokrzywy i łopian, czasem także porzeczki, agrest i karłowate wiśnie. Dużo dalej, w południowej stronie, widniały jeszcze inne domy, zupełnie nowe, ale dopiero hen za polami, za rybnymi stawami. Kiedyś gdzieś tutaj i gdzieś tędy biegła granica. My byliśmy jeszcze na Litwie, zaś tam, za stawami, za działkowymi ogródkami, ziemia należała do Królestwa; herb obu krajów połączyły się w herb naszego miasta.

Koniec naszej ulicy wyznaczał wieki drewniany dom pod numerem 127. Prostokątny, jednopiętrowy, z płaskim dachem krytym papą, oszalowany deskami, poczerniałymi od deszczów i starości. Nad wejściem do budynku daszek, pod daszkiem paląca się wieczorami żarówka. Duże okna. W niektórych oknach kwiaty, w innych firanki, w niektórych i kwiaty, i firanki. Jeśli dostatecznie długo postać się pod kasztanowcem, tym po przeciwnej stronie placu, w jednym z okien można było czasem zobaczyć główkę Ani Januszkiewicz. Warto było poczekać, w ślicznej Ani Januszkiewicz kochała się cała nasza czwarta klasa.

Niedaleko domu stał sklepik, mały, ciasny i ciemny, gdzie sprzedawano piwo i najbardziej potrzebne artykuły codziennego użytku. Pomiedzy sklepikiem a domem rosło ogromne, wysokie drzewo. Wiąz. Od wierzchu nieco uschnięty, podobno po uderzeniu pioruna. Na czubku tego drzewa, bardzo wysoko nad ulicami, znajdowało się zamieszkałe bocianie gniazdo. Przodkowie ptasiej rodziny żyli tu zapewne już wtedy, gdy otoczenie nie zaliczało się do miasta, gdy było tylko polem, a może tylko drzewem. Z upływem czasu zmieniała się okolica, wydeptywano ścieżki i ulice, stawiono domki, płoty, a wreszcie i słupy pod elektryczność. W bocianach nie wzbudzało to chyba żadnego zainteresowania, ani trochę nie zmieniało się gniazdo na wiąz. Każdej wiosny kolejne pokolenia wielkich ptaków przylatywały z Egiptu, kotwiczyły na wiąz, klekotały, karmiły i ćwiczyły młode lub godzinami pływały w powietrzu nad miastem i polami.

Pod koniec sierpnia, zanim jeszcze wracaliśmy po wakacjach do szkoły, bociany zniknęły. Odlatywały ze

swojego gniazda i z naszej ulicy, by przez kawał Europy a potem przez Palestynę, dotrzeć do ciepłych, wilgotnych ziem nad Nilem. Nil - najdłuższa rzeka. Egipt - najstarsze państwo w historii. Palestyna - najbardziej magiczne, najcudowniejsze miejsce na świecie... Tak mówił ksiądz na lekcjach religii, na które chodziło się raz w tygodniu, daleko, najpierw do małutkiej kaplicy przy ulicy Orzeszkowej, a potem aż do kościoła świętego Wojciecha. Chodziliśmy chętnie, bo droga przez dużą część miasta oznaczała całą wyprawę, podczas której mogły przydarzyć się, i czasem przydarzały, niezwykle przygody i przeżycia.

Na wiąz bociany żyły z pokolenia na pokolenie, pozwalając się oglądać mieszkańcom wielkiego drewnianego domu i tym z małych domków przy sąsiednich ulicach, którzy stale przychodzili pić piwo przed sklepem. Bywalczy spoglądali na drzewo i zgadywali, ile dziesiątków lat stoi w tym miejscu. Patrzyli na gniazdo, na bociany i wróżyli sobie z ich zachowania. Ptaki niewiele sobie robiły z sąsiedztwem, korzystając z bezpieczeństwa i wolności, jakie dawała odległość – od drzewa do domów, od ziemi do gniazda, od gniazda do nieba. Obie grupy żyły według własnych praw i zwyczajów, nie wchodząc sobie w drogę. Ludzie byli zadowoleni z bocianów, że przylatują i są, ptaki okazywały obojętność na powiększającą się liczbę ludzi i chęć osiedlania się coraz bliżej.

Czasem znajdowano pod wiązem piskłęta. Jakiś ważny bocian wyrzucił z gniazda te, które były chore i niezdolne do życia, a może tylko te, których chciał się pozbyć z rodziny. Miejscowi nie przestawali popijać piwa, a tylko wzruszali ramionami. Tak już jest: gospodarz ma prawo.

Aż któregoś dnia z gniazda wypadł ptak zupełnie dorosły. Taki prawdziwy, duży bocian. Biały, z czerwonym dziobem, z czerwonymi nogami, z czarnymi końcówkami skrzydeł. Nie wiadomo, jak to się stało. Czy doszło do kłótni, walki, pojedynku, podstępnego ataku? Pewnego ranka po prostu znaleziono ofiarę wypadku, złości, zemsty, kary? Kulawy Rogiński, przedszkolny stróż i palacz, przyszedł do sklepiku i powiedział o martwym bocianie. Że leży pod drzewem. I wszyscy obecni natychmiast poszli zobaczyć ptaka na własne oczy. Poszła nawet sklepowa, ona najwolniej, ponieważ musiała zamknąć interes na sztabę i kłódkę, a to zabierało nieco czasu. Kiedy dotarła na miejsce, zebrani przy drzewie dywagowali nad przyczynami upadku bociana stojąc wokół niego w ciasnym kręgu, pochyleni z zaciekawienia.

Martwy bocian wyglądał zupełnie inaczej, niż wysoko w gnieździe, na tle nieba. Martwy bocian nie miał nic z typowego dla żywych przedstawicieli swojego gatunku dostojności, wyglądał biednie i żałośnie.

Sławek Koszewski, który akurat przybiegł do sklepu i zastał drzwi zamknięte, wszystko to widział i słyszał. Przyszedł z dwulitrową kanką na mleko, żeby kupić oranżadę dla ojca. Ojciec Sławka jak zwykle miał kaca, a nic mu tak dobrze nie robiło jak oranżada. Posłał chłopaka po napój, a Sławek miał tyle szczęścia, że wszystko zobaczył i mógł nam później opowiedzieć. Wprawdzie nie przyszedł w najważniejszym momencie, to znaczy wtedy, gdy bocian spadał, ale akuratnie tego nikt inny z obecnych też nie widział.

Ludzie stali więc przy starym drzewie, patrzyli na leżącego bociana i zastanawiali się, skąd się wziął, co z nim zrobić i w ogóle, co to wszystko oznacza. Bo, że wydarzenie stanowiło jakiś ważny znak, dla nikogo nie ulegało wątpliwości. Bociany nie spadają z gniazda codziennie. Wszyscy zerkali na dziadka Martyniuka i czekali na jego opinię, ponieważ w tej części świata nikt nie dorównywał mu autorytetem. Kulawy Rogiński chwalił się wprawdzie, że stawał do raportu przed marszałkiem Rokossowskim i Rokossowski osobiście dał mu w pysk, ale słuchacze wzruszali ramionami i spluwali pod nogi. Też mi marszałek. Józef Piłsudski to był marszałek! A właśnie Martyniuk na własne oczy widział Piłsudskiego, i to dwa razy, gdy ten jechał do kwatery na dworcu kolejowym, w czasie wojny z bolszewikami. Odkrytym samochodem jechał: z przodu kierowca, z boku adiutant w mundurze jak spod igły, marszałek zaś w szarym żołnierskim szynelu. Zamyślony, ale wszystkim salutował. Martyniuk był potem u Andersa i w ogóle zwiedził cały świat. Widział chyba wszystkie cuda: tajgę, morze, góry i takie miasta, co się nazywają zupełnie inaczej w zależności od tego, czy o nich się mówi, czy czyta w gazecie: Chambrais, Blois, Chartres. Widział nawet piramidy w Egipcie, w tym samym Egipcie, gdzie zimują nasze polskie bociany.

Teraz dziadek Martyniuk gładził się po siwych sumiastych wąsach w głębokim zamyśleniu.

- Bociany nie spadają z gniazda codziennie – oświadczył. – To musi być ważny znak. Będzie wielkie trzęsienie ziemi. Albo może Gomułka upadnie.

Obecni kiwali głowami, zgadzając się z tak poważną analizą i jeszcze bardziej cisnęli się, żeby dobrze obejrzyć znalezisko.

Sławek Koszewski też chciał zobaczyć ptaka z bliska i przepychał się pomiędzy dorosłymi, co wymagało determinacji i sprytu, bo był w naszej klasie najmniejszy. Dorosli nie chcieli go przepuścić, ale dzięki wstawiennictwu sklepowej, mógł zobaczyć, co było do obejrzenia. Sklepowa nie miała własnych dzieci i czasem życzliwie odnosiła się do cudzych, zwłaszcza jeśli byli mali i drobni.

- Dajcie małemu popatrzeć – zażądała, rozpycha-

jąc towarzystwo pulchnymi łokciami. – Niechaj się dzieciak czegoś przy okazji nauczy.

Dziadek Martyniuk uznał to za dobry pomysł, a zaraz potem oznajmił, że jego zdaniem, bocian powinien trafić do szkoły, dla dobra dzieci.

- Będzie ekspinatem naukowym.

Dziadek Martyniuk nie był specjalnie wyedukowany, ale jego pomyłek nikt nie ośmieliłby się sprostować. Jeśli mówi ekspinatem naukowym, tak jest poprawnie. Sam do szkoły nigdy nie chodził, ale miał dla ludzi uczonych szacunek i ich trud nad nauczaniem innych uważał za coś zasługującego na najwyższe uznanie. Szczególną estymą darzył pana Godlewskiego, kierownika szkoły przy ulicy Gdańskiej.

- Trzeba zaraz do pana Godlewskiego – postanowił za wszystkich. – Pan kierownik Godlewski będzie umiał tak zarządzić, żeby z tej kupy piór nasze dzieciaki wyciągnęły dobrą naukę. Dzieci to przyszłość narodu.

Przy martwym ptaku został Józek Telega, z zawodu pomocnik murarski, którego zadaniem było pilnować znaleziska i udzielać odpowiedzi na pytania przechodniów, gdyby tacy się pojawili. Reszta towarzystwa wróciła przed sklepik, gdzie przy nowozakupionych flaszki piwa zwołano w krąg pilną naradę. Uradzono, że natychmiast należy zabrać ptaka z ulicy i zanieść do szkoły. Rola posłańca przypadła Józkowi Teledze, bo był chętny do roboty, a akurat miał wolne.

Sławek Koszewski bardzo chciał pobiec do szkoły jako pierwszy i zostać bohaterem. Był najmniejszy w klasie, stale ustawiano go na końcu i nawet na boisku, gdy kapitanowie wybierali sobie zawodników do drużyny, on czekał najdłużej. Teraz Sławek miał szansę zabłysnąć. Zanieść do szkoły wieści o bocianie, może nawet zanieść samego bociana. Jednakże nie mógł tego zrobić natychmiast, musiał przecież kupić oranżadę dla ojca, dostarczyć ją staremu na ulicę Kołodziejską, a potem dopiero mógł iść na Gdańską. Obliczył, że w tym czasie Józek Telega dwa razy zdąży obrócić do szkoły i z powrotem. Sławek mógłby załatwić rzecz po drodze do domu, ale nijak mu było iść tam z kanką, chciał iść z bocianem. Stał więc Sławek Koszewski z kanką w ręce i prawie płakał, że minie go taka wspaniała okazja powiadomienia wszystkich chłopaków o wydarzeniu z bocianem.

Narada dobiegła dońca, pomocnik murarski zbierał się do wypełnienia misji, a Sławek gorątkowo kombinował, jak go uprzedzić i zanieść nowinę na własnych ustach. Spróbował dołączyć do wyprawy i wyjawiał Józkowi Teledze chęć zostania jego przewodnikiem.

- Zgłupiałeś, mały? – spytał życzliwie pomocnik murarski. - Ja miałbym nie znać drogi do szkoły, co to chodziłem tam przez tyle lat?

Odrzucił też możliwość pomocy w poniesieniu ptaka.

- Jesteś za mikry – ocenił, w czym zresztą miał sporo racji, bo akurat wzrostu to Pan Bóg Koszewskim bardzo poskąpił.

Sklepowa wróciła tymczasem do wnętrza budki i Sławek musiał iść za nią, by wypełnić polecenie ojca. Włożył właśnie rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy w zamieszaniu nie zgubił pieniędzy, a tam, jak to w kieszeni chłopca, natknął się na czarny, okrągły kamyk, znaleziony wiosną w żwirowni. Chłopięcy talizman.

Sławek Koszewski ledwie dotknął kamienia, gdy natychmiast wydarzył się cud: od razu wiedział, jak powinien postąpić, żeby jednak być obecnym w chwili dostarczenia bociana do szkoły, i to w najważniejszej roli.

Bez namysłu odłożył na bok posłuszeństwo wobec rodzica i przystąpił do wykonywania planu. Najpierw kupił pełną kankę piwa, całe dwa litry. Nie miał na to dość pieniędzy, musiał uciec się do kłamstwa. Powiedział sklepowej, że ojciec ma ważnych gości i bardzo potrzebuje piwa. Sklepowa tak była przejęta bocianem, że zgodziła się dać sześć butelek na kredyt i jeszcze osobiście przelała ich zawartość do kanki. Następnie Sławek poszedł do Józka Telegi i choć był najmniejszy w klasie, zawarł poważną umowę z dużym i silnym pomocnikiem murarskim. Za kankę piwa Józek Telega zgodził się, żeby Sławek został jego przewodnikiem i zobowiązał się, że na końcu drogi, na szkolnym placu, pozwoli mu ponieść bociana.

I tak się stało. Poszli obaj Jagiellońską, Józek Telega niósł ptaka pod pachą, Sławek Koszewski dźwigał kankę z piwem. Na skrzyżowaniu z ulicą Gdańską, gdzie zaczynało się już szkolne ogrodzenie, pomocnik murarski wręczył martwego ptaka Sławkowi, a sam zaopiekował się piwem. Po wejście przez furtkę Sławek, specjalnie zwalniając kroku, niósł bociana przed sobą jak królewskie medale na jedwabnych poduszkach - przez plac, po schodach, przez korytarz, aż do gabinetu pana kierownika Godlewskiego. Była to droga chwały. Po drodze bowiem widzieli Sławka koledzy z wielu klas i nawet ci najstarsi patrzyli na niego z uznaniem i szacunkiem.

- Bocian, rany boskie! – wołali z podziwem.

- Taki mały a taki sprytny szpunc!

Sławek Koszewski nie odpowiadał, a głowę trzymał wysoko i dumnie. Wiedział, że wkrótce będzie miał mnóstwo okazji do wyjaśnień i przeżuwał, że sukces, który stał się jego udziałem, będzie mu towarzyszył długo, dając się smakować i smakować.

Bocian z naszej ulicy, odpowiednio spreparowany i zabezpieczony przed zębami czasu, na zawsze zadomowił się w pracowni biologicznej naszej szkoły. Stał, dumny i wyglądający jak żywy, pomiędzy akwariem z kolorowymi rybkami, a słoikami zawierającymi rozmaite owady, zaskronce i żaby. Przy bocianie nie położono wprawdzie żadnej karteczki z wyjaśniającym napisem, jak to zrobiono kiedyś przy obecnych w pracowni wypchanych ptaszkach, kunie i wiewiórce, ale i tak wszyscy pamiętali, że to Sławek Koszewski przyniósł bociana do szkoły.

Przykrą stroną sukcesu Sławka była niemożność wytłumaczenia w domu braku oranżady w kance i perspektywa lania, jakie spuściłby mu spragniony ojciec, godzinami daremnie wypatrujący orzeźwiającej oranżady. Sławek zgromadził wprawdzie nieco oszczędności uzbieranych ze sprzedaży makulatury, ale w poprzednim tygodniu stracił je prawie wszystkie w grze „w dołka” i teraz pozostawało jedynie albo wystawić tyłek na ojcowy pasek albo natychmiast wyjechać. Sławek postanowił wyruszyć w świat i planował wrócić dopiero wtedy, gdy zostanie już dorosły i wystarczająco bogaty, by wynagrodzić ojcu straty. Była to jego druga właściwa decyzja tego dnia. Gdy bowiem wędrował opłotkami w kierunku stacji kolejowej, gdzie zamierzał ukryć się w jakimś pociągu towarowym, los uśmiechnął się do chłopca po raz wtóry. Sławek znalazł na swojej drodze banknot, pomięty ale o nominale aż pięćdziesiąt złotych. Starczyło, żeby zmienić życiowe plany i kupić dużo, dużo więcej, niż mógł zamarzyć.

Kiedy już po zmierzchu, Sławek powrócił wreszcie do domu, ojciec powitał go niespodziewanie łagodnie. Okazało się, że spał cały czas, teraz dopiero się obudził i zupełnie nie był świadomy przygód syna ani jego wątpliwości. Z wielkim zadowoleniem przyjął wiadomość, że Sławek przyniósł mu nie tylko pełną bańkę oranżady, ale i kilka butelek piwa.

- Świeżutki browar! Pomyślałeś o swoim biednym skacowanym ojcu? – zachwycał się. – Naprawdę, nie wiedziałem, że taki skarb mam w domu.

I następnego dnia podarował synowi rower. Kupił go tanio od przygodnego człowieka, pojazd był stary, może kradziony, a na pewno zdecydowanie za wielki dla drobnego Sławka. Wszyscy mu jednak bardzo zazdrościliśmy, ponieważ został pierwszym chłopakiem w naszej klasie, który miał własny rower. Czasem dawał nam pojeździć. Nawet dość często.

M. P. Rawinis

Janusz Mielczarek

Wojna i pomniki

W czasie, gdy żołnierze przelewali krew na froncie, ideologowie jedyne go ziemskiego raju przygotowywali grunt pod nowe terytoria, jakie miały wejść w skład sowieckiego imperium po okrutnej wojnie. Miałem wówczas kilka lat i bardzo dobrze pamiętam 16 stycznia 1945 roku.

Mieszkałem z rodzicami przy ulicy 3 Maja nr 10. Ulica ta była główną trasą tranzytową wschód - zachód. Niemcy wynosili się w panice. Mama z niepokojem oczekiwała powrotu ojca. Późnym popołudniem ktoś przyniósł wiadomość o „ruskich” czołgach spalonych w Alejach. Starsi zdecydowali, że dla bezpieczeństwa trzeba zaryglować bramę wjazdową i drzwi od ulicy. W kilka rodzin koczowaliśmy na parterze domu w mieszkaniu państwa Nonasów, które od ulicy oddzielało jeszcze jedno mieszkanie. Uważano bowiem, że tak będzie bezpieczniej. Groźnie zrobiło się wieczorem, mogło to być między godziną 17 a 18, kiedy stojący na czujkach doniósł o powracających do miasta Niemcach. W kierunku śródmieścia przemieszczał się duży oddział niemieckiego wojska. Oczekiwano najgorszego. Modlono się.



Pomnik radzieckiego żołnierza na Placu Biegańskiego, przed ratuszem. Artystyczny kształt tego pomnika wdzięczności dla Armii Czerwonej wzbudzał wiele kontrowersji. Według powszechnej, ludowej interpretacji, „tankista wykręca żarówkę”

drugiej w nocy, gdy zaburzone do drzwi wejściowych od ulicy. Nie odpowiadano, ale łomoty kolbą powtarzały się. Ktoś z domowników wreszcie się odezwał, a głos zza drzwi zapytał o „germańców”. Weszli. Zaproszono ich do pokoju, gdzie byliśmy skoszarowani.

Było ich trzech. Najstarszy mógł mieć pod sześćdziesiątkę, drugi, krępy o czarnych włosach koło czterdziestki, a najmłodszy, chudy, w za dużym szynelu, miał może 14 - 15 lat. Wciąż widzę go w pamięci, jak ugoszczony kromką „popularki” (to czarny wojenny kartkowy chleb) ze smalcem, odchodzi od stołu, siada w pobliżu choinki i patrzy na nią w milczeniu.

Nazajutrz, wbrew przestrogom mamy, wyszliśmy z tatą z domu. Przy parkowej bramie leżał zabity niemiecki żołnierz z odciętym palcem, na którym prawdopodobnie była obrączka. Kilkanaście kroków obok, na początku al. Sienkiewicza, świętujący zwycięstwo żołdat pruł z pepeszy w niebo, na wiwat. Nieco dalej, na wysokości domu al. NMP 62, obok rozbitego radzieckiego T-34 leżeli na wpół spaleni czołgiści, inni zwisali z wjazdu wieży w pozach, w jakich zastała ich śmierć. Dalej, za budynkiem Liceum Sienkiewicza, przy kolejnym rozbitym T-34, widok był tak samo dramatyczny. Godzi się pamiętać, że tamtego słonecznego popołudnia 16 stycznia 1945 roku, najdalej, bo aż do schodów (były wówczas takie) prowadzących na błonia jasnogórskie, dotarł czołg prowadzony przez dwudziestolatkę. Trafiony z niemieckiego panzerfausta spłonął z całą załogą. Widok sowieckiego czołgu w pobliżu klasztoru przeraził stacjonujących tam Niemców i zmusił do ucieczki. Inne aspekty tego wydarzenia pominę, choć znam je z relacji naocznego świadka, prof. Edwarda Mąkoszy.

Na dzisiejszym Placu Biegańskiego, po stronie Ratusza, pośrodku, było przejście do budynku. Po jego obydwu stronach istniały trawniki. One to właśnie stały się pierwszym miejscem pochówku czołgistów majora Chochriako-



Fot. Janusz Mielczarek

Odsłonięcie drugiego pomnika miało miejsce w roku 1968. Radziecki żołnierz stanął na wysokim cokole; w jednej ręce miał pepeszę, w drugiej gałązkę oliwną (żelazną różgę wg niektórych). Popularny wierszyk głosił: „Stoi, Wania, stoi / Na wysokim słupie / Kościół ma przed sobą / A prezydium w d...” (dla niewtajemniczonych: kościół to św. Jakub, prezydium – magistrat)

wa, którzy brawurową szarżą wyparli Niemców z Częstochowy i zostali tu z nami na zawsze.

Poległych grzebano, ale imperium parło do zwycięstwa. Nie tylko NKWD „czyściło” grunt za frontem z przeciwników politycznych – Częstochowa w czasie wojny była jednym z większych ośrodków Armii Krajowej – ale i specjalne ekipy tu i ówdzie posadawiały „ku wiecznej pamięci” wcześniej przygotowane pomniki czerwoarmistów. Taki właśnie – pomnik wdzięczności dla wyzwolicielskiej armii - stanął na obecnym pl. Daszyńskiego.

O pomniku dla czołgistów pomyślano później. Ulokowano go vis-a-vis wejścia do Ratusza, między wspomnianymi wcześniej trawnikami. Stawał jednak z problemami, bo pewnej nocy 1946 lub 1947 roku coś błysnęło, huknęło i dość prymitywna konstrukcja wyleciała w powietrze. Nadzorujący tę „polityczną”

robotę nasz sąsiad z ul. 3 Maja, p. Nabiałek, przyplacił to śledztwem i więzieniem. Pomnik ostatecznie stanął, i jak inne dzieła dyżurnego wówczas lokalnego rzeźbiarza charakteryzował się przerostem masy mózgowej postaci (niektórzy nazywają to wodogłowiem). Żołnierz z pepeszą prowadził do boju, stojąc na usytuowanym pod nim w wyraźnej dysproporcji, niewielkim czołgu. Smaczku całości dodawała potężna lampa w pobliżu wyciągniętej dłoni postaci, którą to lampę zainstalowano dla bezpieczeństwa monumentu (w Alejach było wówczas dość ciemnowo) - w Częstochowie mówiło się, że czołgista odkręca potrzebną mu żarówkę.

Wizerunek czołgisty wzbudzał dość częste i wyrażane przy różnych okazjach sprzeciwy środowisk twórczych, studentów,

architektów. Przetrwał jednak 20 lat. Potem sprawę wziął w swoje ręce prof. Marian Konieczny. Początek wyglądał jak na załączonej fotografii, koniec jest już bardziej znany.



Fot. Zbigniew Burda

Pomnik Wani zburzono z początkiem 1991 r. Na jego miejscu, przed ratuszem, w listopadzie 1996 stanął pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego. Dziadek odniósł kolejne zwycięstwo nad bolszewikami

ARGONAUCI W NOWYM JORKU

W grudniu 2007 roku odbyła się w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku Pierwsza Aukcja Współczesnej Sztuki Polskiej. Rozmawiamy z jej organizatorami, szefami Fundacji na Rzecz Promocji Sztuki Polskiej ARGO.

Jaki był cel tej aukcji i jej założenia?

Jarosław Kweclich: Pomysłodawcą aukcji był pan Romuald Dymski, Częstochowianin mieszkający obecnie w Nowym Jorku. Głównym patronem aukcji był Konsul Generalny RP w Nowym Jorku, pan Krzysztof W. Kasprzyk. Podstawowy cel, to promocja polskich artystów. Nie tylko uznanych, ale również wchodzących w rynek sztuki. Pokazanie kręgom polonijnym, że polska sztuka ma się dobrze. Nie mniej istotnym celem było zebranie funduszy na następne działania fundacji i wspomnienie artystów. Założyliśmy, że każdy artysta dostaje 50 procent wylicytowanej sumy za swoje obrazy. Organizacja takiej imprezy to naprawdę kolosalne przedsięwzięcie. Jeżeli ktoś organizował wystawę zbiorową, to wie o czym mówię: dotarcie do artystów, opracowanie katalogu, itp., itd.



Aukcję w Nowym Jorku prowadził znany aktor, Leonard Pietraszak

Bartosz Frączek: Dodajmy, że organizacja wystawy za granicą, a właściwie za oceanem, to zupełnie inna para kaloszy. Dodatkowe problemy, to odprawa celna. Przygotowanie specjalnych opakowań (spedytor zastrzegł, że nie mogą być drewniane), wycena prac u specjalisty potrzebna do ich ubezpieczenia, odpowiednie uszczelnienie i zabezpieczenie prac. Wszystko to pochłania masę energii, czasu i finansów.

Jacy artyści wystawili swoje prace na sprzedaż? Były znane nazwiska?

Jarosław Kweclich: Począwszy od studentów, skończywszy na nestorach. Czy nazwiska naprawdę znane? Ja je znam. Myślę, że nie tylko ja.

Bartosz Frączek: Połowa uczestników, to Częstochowianie. Zależało nam, by pokazać jak najwięcej artystów z naszego miasta, w którym - co wiadomo nie od dziś - drzemie ogromny potencjał artystyczny.

Aukcji towarzyszył katalog, bardzo dobrze przygotowany. Czy pomógł w lepszej sprzedaży dzieł sztuki? Jak wygląda ten rynek w USA?

Jarosław Kweclich: Na pewno nie zaszkodził. Katalog był pomyślany bardziej dla występujących w nim artystów, jako dobra dokumentacja poczynień artystycznych. Co wśród kolegów zostało dostrzeżone.

Bartosz Frączek: Trudno mówić o rynku sztuki w USA w kontekście jednej aukcji, przygotowanej zresztą w kierunku żyjącej tam Polonii. Jednak dało się zauważyć duże zainteresowanie malarstwem i do tego przedstawiającym. Co do katalogu, to sprawdziła się moja długoletnia współpraca z panem Jerzym Piątkiem z Kielc, z wydawnictwa Fine Grein, po którym można się spodziewać najwyższej klasy wydawnictwa. Chciałbym w tym miejscu podziękować Kolegom Marcinowi Wiczorkowi i Jerzemu Piwowarskiemu za współudział w realizacji katalogu.

Aukcję prowadził znany warszawski aktor, Leonard Pietraszak. Jak sobie radził w tej roli?

Jarosław Kweclich: Aktor z prawdziwego zdarzenia. Stara, dobra szkoła. Człowiek miły, profesjonalista, miłośnik i kolekcjoner sztuki, entuzjasta szkoły Stanisławskiego, wieloletni przyjaciel Jana Szancenbacha i Tadeusza Kulisiewicza. Aukcje prowadził ze

swadą, znanstwem, nerwem. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że w paru momentach ratował atmosferę.

Była więc jakaś specyficzna dramaturgia tej aukcji? Zaplanowana czy niezaplanowana?

Bartosz Frączek: Największą dramaturgię zafundowała nam pogoda, w noc poprzedzającą aukcję spadł śnieg, a to dla Nowojorczyków tragedia, nie wychodzą z domu, zanim się nie oswoją, boją się stłuczek i upadków. Tak więc, zmniejszyło to nam znacznie publiczność. Co do samej aukcji, to był pewien moment, który pozwolił lepiej licytować. Po 50. pracy miała być przerwa, ale sala była na tyle „rozgrzana”, że z niej zrezygnowaliśmy.

Jakie są efekty tego znaczącego przedsięwzięcia? Chodzi mi o efekty finansowe, a również o efekty związane z propagowaniem sztuki polskiej?

Jarosław Kweclich: Liczyliśmy na więcej, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa – apetyt duży. Mogę w jednym zdaniu powiedzieć, że jak na pierwszą imprezę organizowaną przez naszą Fundację, biorąc pod uwagę wszystkie przeciwności losu, osiągnęliśmy sukces.

Bartosz Frączek: Zauważyliśmy, że lepiej sprzedawali się artyści, którzy już kiedyś brali udział w innych aukcjach w Nowym Jorku. Tak więc, ważne jest, by zaznaczyć tam swoją obecność.

Jestem przekonany, że ARGO ma inne ciekawe propozycje związane z promocją rodzimej sztuki. Jakie są plany Fundacji na przyszłość?

Jarosław Kweclich: Najbliższym i myślę, że jeszcze trudniejszym w realizacji, będzie pierwszy letni estywal sztuki współczesnej w Hucisku, który zamierzamy zorganizować w sierpniu tego roku. Jesteśmy w trakcie pozyskiwania funduszy na tę imprezę. Wszelkie działania, których się podejmujemy, obciążone są dużymi kosztami. Jeżeli zdołamy zebrać odpowiednie fundusze, to pomysłów nam nie zabraknie. Na przykład: następne aukcje Europa-Ameryka, festiwal, stypendia dla młodych artystów, wspieranie i współudział w imprezach artystycznych i kulturalnych organizowanych przez inne podmioty...

Życzymy sukcesów.

Rozmawiał Marian Panek

STARE I NOWE

Władysław Ratusiński

Chodząc ulicami, często nie dostrzegamy wielu drobnych elementów, pozornie mniej istotnych, które jednak składają się na krajobraz miasta, decydując o jego charakterze. Taką częścią miejskiego krajobrazu są sklepowe witryny. Bardzo niewiele zostało w Częstochowie witryn dawnych, z drewnianą, często ozdobną, stolarką, dobrze harmonizujących z elewacjami starych kamienic. Nie wzięto ich, niestety, pod ochronę, gdy jeszcze było ich więcej. Uznano, że nawet w zabytkowych kamienicach parter nie jest chroniony i można sobie robić, co się komu podoba. Takie podejście rzadko dawało dobre rezultaty, a spowodowało wiele zniszczeń i zubożyło bardzo miejski krajobraz. Gdy się idzie ulicami Krakowa, podziwiać można niejedną taką witrynę, oryginalną w formie, rzeźbioną. Jak bardzo to ważna część wystroju kamienicy, nie powinno budzić wątpliwości. Przecież właśnie witryna jest na poziomie wzroku przechodnia, przyciąga wzrok zawartością sklepowych wystaw reklamujących różne towary. Tak przynajmniej być powinno, bo dziś można zauważyć wyraźny brak zainteresowania sztuką urządzania wystaw sklepowych, a co za tym idzie, upadek tej sztuki. Nie widać interesujących kompozycji, właściciele i personel nie prześcigają się w realizacji ciekawych pomysłów, nie widać pracy zdolnych dekoratorów mających swój specyficzny, indywidualny styl. Mogliśmy się o tym przekonać przy okazji konkursu na wystawę z okazji Bożego Narodzenia. Konkurs, kontynuowany w przyszłości, może stać się bodźcem ożywiającym inicjatywy w tej dziedzinie.

A przecież żadna to nowość – troska miasta o estetykę, również w zakresie wystaw sklepowych. Już w przedwojennej Warszawie zwracano na te problemy uwagę. Także konkursy wystaw sklepowych były w okresie międzywojennym organizowane. Organ Muzeum Przemysłowego w Krakowie „Rzeczy Piękne”, piórem dr Rudolfa Beresa, w 1927 r. informował:

Krakowska Izba handlowa i przemysłowa, poświęcając baczną uwagę kwestyom naukowej organizacji pracy, nie pomija też dziedziny handlu, którego poziom i metody pracy wymagają również racjonalizacji i usprawnienia. W szczególności wypadło zająć się zaniedbaną u nas sprawą wystaw sklepowych, których wygląd zewnętrzny i wyposażenie w Krakowie, jako miście o charakterze zabytkowym, posiadają wielkie znaczenie dla obrazu ulicy. Przedewszystkiem chodzi-

ło o zaznajomienie kupiectwa z wynikami rozwiniętej na Zachodzie nauki o urządzaniu wystaw sklepowych, tzw. „etalazu”. W tym celu wydelegowano zagranicę profesora Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych, profesora Henryka Uziembłę i użytkowując bogatą literaturę fachową urządzono Kurs dekorowania wystaw sklepowych w Muzeum Przemysłowym w Krakowie. Na kursie tym starali się organizatorzy (...) ująć zasady racjonalnego etalazu, zwracając specjalną uwagę na kwestyę odpowiedniej budowy, należytego oświetlenia, celowego ugrupowania i artystycznego urządzania wystaw (...) Drugim etapem był Konkurs Wystaw Sklepowych, urządzany na wzór zagranicy (...). Do tabeli przyjęto następujące walory wystawy, jako cechy kwalifikacyjne: wrażenie ogólne, pomysłowość, atrakcyjność, oświetlenie, układ, zestawienia kolorów, smak, umiar ilościowy, czystość i tło (...) Znaczne postępy w tej dziedzinie dają się też zauważyć na ulicach Krakowa, a akcja cała znalazła naśladownictwo w szeregu innych miast polskich(...)

W Częstochowie zachowało się jeszcze parę ładnych drewnianych witryn. Może nawet nie zawsze dlatego, by właściciele rozumieli ich wartość, ale po prostu z powodów finansowych nie mogli pozwolić sobie na założenie nowych, aluminiowych lub plastikowych. I tak zostały do dziś; warto je zachowywać nadal, konserwować, by cieszyły oczy przechodniów, urozmaicały urokiem dawności powszedniość miejskiej ulicy.



Ul. Śląska 25

Fot. Zbigniew Burda

Zbislaw Janikowski WYSTAWY

Wystawę sklepową posiadał kiedyś każdy szanujący się sklep. Przybierała też różne nazwy, od zwykłej „wystawy”, przez „okno wystawowe”, „gablotę”, aż po wyszukaną „witrynę”. Dziś prawie zupełnie zniknęły tradycyjne wystawy sklepowe, zastępują je gazetki reklamowe, billboardy, wręczane nachalnie ulotki. A wystaw sklepowych żal...

Mój pierwszy zapamiętany kontakt ze sklepowymi wystawami sięga czasów jeszcze wojennych, była to pewnie ostatnia okupacyjna zima. Wystawy sklepowe oddziały od ulicy ozdobne metalowe bariery. Były to solidne rury łączone mosiężnymi lub żeliwnymi ozdobnymi mufami, inne wygięte pałkowato, nieprzyjazne, utrudniały oglądanie, przy tym lodowato zimne, oparte o nie dłońnie szczypały i przywierały, tak, jakby miały przymarznąć. Przy moim wzroście bariery znajdowały się na wysokości ust, niejeden z nas „próbował” językiem oblepiającego poręczę cieniutkiego lodu. Lód jak to lód, ani w nim smaku, ani zapachu. Ale jakie były przepowiednie o przymarznionym języku, o konieczności odcinania – bariery, nie języka – i perspektywa chodzenia z kawałkiem żelaza przymarznionym do ust i jeszcze o chłopcu, który na Starym Rynku już drugi dzień stoi przy wystawie i czeka na odwilż.

Nie pamiętam wojennych wystaw, poza jedną, w sklepie - tylko dla Niemców - z zabawkami, w nieistniejącym już domu przy ulicy Dąbrowskiego. Ta wystawa pełna była glinianych żołnierzyków, blaszanych wojskowych samochodów ze sławną czarną limuzyną Hitlera marki „Mercedes”, blaszanych czołgów, samolotów, armat i innych, wymalowanych w łaciate ochronne barwy, oznaczonych na burtach czarnym niemieckim krzyżem. Mama nie pozwalała nawet popatrzeć, musiałem jednak często zerkać na to zakazane królestwo, skoro tyle zostało w pamięci.

Jak przez mgłę majaczy wystawa „naszego” sklepu też przy Dąbrowskiego pod 4. W czasie, gdy większość artykułów spożywczych była na kartki,

gdy w wolnej sprzedaży znajdowała się tylko marmolada z buraków i brukwi, wystawy sklepowe też nic lub prawie nic nie reklamowały. Na pewno stały jednak wysokie piramidy granatowo-liliowych pudełek z kawą zbożową „Enrilo”, której głównym składnikiem były też odpowiednio spreparowane buraki. Prócz tego kolorowe laski zastępującej kawę cykorii, całe „ramy”, (dlaczego ramy nie wiem, ale tak mówili dorośli) zapałek, wyszukane zapałkowe dekoracje, butelki prawdziwego octu i stopy wojennego mydła, które nie mydliło się i nie pachniało. Jedna z wystaw pełna była pudełek z pastą do podłóg. Było w czym wybierać, od białej przez orzech po mahoń, a być może, że ów orzech był w odcieniach jasnym i ciemnym. Nie pamiętam, czy były to produkty sławnej przedwojennej firmy „Dobrolin”, wiem natomiast, że blaszane lakierowane reklamy tej firmy wisiały na różnych sklepach jeszcze przez wiele powojennych lat.

Pamiętam też reklamowy wierszyk-slogan, poświęcony właśnie tej paście do podłóg – Pasta Dobrolin najwyższe ma zalety / wytarte podłogi zamienia w parkiety! Imponująco wyglądały (były dwie) wystawy naszego sklepu po zmroku. Przy obowiązującym wojennym zaciemnieniu, okna, nie tylko sklepowe, musiały być zasłonięte, wygaszone też były wszystkie uliczne latarnie, miasto było ciemne, a policja surowo karała za złamanie zakazu. Wystawy sklepowe zasłonięte czarnymi roletami nie pokazywały pustego wnętrza, jednak kusiły, wskazywały gdzie sklep. Wycięte w czarnym papierze zasłon litery, podklejone kolorowym papierem wyglądały wesoło, radośnie. Choć nie umiałem czytać, w pamięci pozostał czerwony napis „Wacław Janikowski” i jeszcze coś zielonego. Ten dumny napis świadczył też o woli przetrwania, gdy na przekór okupantowi przy-

pominał przechodniom, że mimo zamknięcia właściciela w obozie koncentracyjnym, firma trwa.

A potem na wystawach znalazło się ponownie to, o czym opowiadali starsi wspominając przedwojenne czasy. W cukierni pana Gospodarka pojawiły się okazałe torty i tace pełne różnokolorowych ciastek tortowych a ponadto sezonowe bożonarodzeniowe strucle i pierniki, tłustoczwartkowe stopy pączków i faworków (lub chrustu, jak kto woli), wielkanocne baby i sękacze („bankucheny”). Mniej skomplikowaną filozofią kierowali się rzeźnicy - Rajszyca w III Alei i Szczepański w drugiej. U nich przed każdymi świę-



Z archiwum Autora

tami pojawiał się wielki, wędzony, brunatny łeb świński, z jajem na twardo w półotwartym pysku i lukrowanymi oczkami, obok poczesne miejsce zajmowała wielka jak stodoła wędzona szynka „z kością”. Na Wielkanoc obok świńskiego łba leżały kilometrowe pęta białej kiełbasy, a na Boże Narodzenie przedziwne pasztety, rolady i wyszukane zimowe frykasy.

Inne wystawy z tego okresu umknęły mej uwagi, poza jedną, w małym sportowym sklepiku w II Alei, vis-a-vis obecnej Biblioteki Publicznej. Mogłem tam stać godzinami, nie ze względu na sportowe sprzęty i stroje, tylko zapatrzonej w pojawiające się tam czasami modele samolotów. Umocowane na drucie osadzonym na drewnianej podstawie, sprawiały wrażenie szybujących w powietrzu. Angielskie myśliwskie „spitfiry” i „hurricane”, bombowe „wellingtony”, a nawet przegrane niemieckie „messerschmitty”. Wszystkie wykonane z zadziwiającą precyzją, z troską o najdrobniejsze szczegóły, z zachowaniem wojennego ubarwienia. Nie umiem powiedzieć, czy była to dekoracja, czy kupowali je jacyś kolekcjonerzy, ja przechowałem je przez ponad pięćdziesiąt lat w pamięci.

Zmieniło się wszystko po uspołecznieniu niemal całego handlu. W „naszym” sklepie zagościł PSS, prywatni rzeźnicy zmienili się w bezfirmowy MHM (Miejski Handel Mięsem), księgarnie w „Dom Książki”, a inne sklepy trafiły pod szyld MHD, CzZG (gastronomia) i cos tam jeszcze.

A wystawy zostały. W sklepach przemysłowych i tekstylnych zawsze można było usypać kilka kulek gwoździ, ułożyć według wzrostu kłódki, młotki czy murarskie kielnie lub płataninę blaszanych rur, a w tekstylnych powiesić jakieś niechodliwe szmaty (wystawa starczała wtedy na dłużej). A u rzeźnika (szczególnie, gdy wprowadzono system kartkowy) wystawy wypełniły doniczki z paprotkami pięknie kontrastującymi z białą kafelką. W spożywczych pojawiły się gipsowe atrapy butelek z mlekiem, klinków sera a nawet okazałych niczym strusie jajek, gipsowe kiełbasy, zaś uzupełnieniem całości były oczywiście paprotki. Ten widoczek najlepiej utrwalił w mojej pamięci mały mleczarski sklepik w III Alei. Tam gipsowe wyroby mleczarskie doczekały się patyny wieków, żółty ser pokrył brud do złudzenia przypominający zielonkawą serową pleśń, gipsowe mleko w gipsowych butelkach skwaśniało a białe klinki sera nadgryzł zęb czasu, całość uzupełniały usychające ze znudzenia paprotki.

Etatowi dekoratorzy zatrudnieni przez dyrekcję PSS-u i MHD prześcigali się w pomysłach, jak udekorować puste przestrzenie. Pomocnym okazał się zwykły biały karton, kwitła bowiem zapomniana dziś dziedzina zdobniczej sztuki – papieroplastyka. Dopiero po latach zdobnictwo opanował styropian, z którego zręczne palce wyczarowywały zimowe płatki śniegu, fantazyjne ornamenty wokół wystawionych jak na pokuszenie nielicznych „luksusowych”

dóbr, które można było „odzyskać” dopiero po rozebraniu wystawy.

Szczególnie atrakcyjny czas nastawał w okresie świąt państwowych. Na 1. Maja wystawy zakwitły białą i czerwienią połączoną z zielenią zaklętą w nieśmiertelnych paprotkach. Tak na marginesie, paprotki były dumą sklepu, wizytówką kierowniczką, nieformalnym, ale bardzo ważnym elementem wyposażenia, odchodziły wraz z zmieniającym się personelem a nieopatrnie pozostawione na czas ciągnącego się przeważnie miesiącami remontu – ginęły niczym prastare gatunki, którym brakło ewolucyjnej drogi do przystosowania. Na państwowe święta dekoratorzy wyładowywali cały zapas inwencji, na wystawach pojawiały się wzniosłe hasła, portrety przywódców i twórców ustroju. Marks sąsiedował z Gomułą czy Cyrankiewiczem, Stalin bratał się z marszałkiem Rokossowskim Konstantynem Konstantynowiczem, wietnamski Ho Szi Min zawierał dozgonną przyjaźń z enerdowskim Wilhelmem Pieckiem, do tego wszystkiego gromkie „wojnie nie!” i „pokój” we wszystkich możliwych językach świata.

Taką wystawową eksplozję radosnej twórczości przeżywaliśmy trzy razy w roku: na 1. Maja, 22. Lipca i 7. Listopada. Inne święta były dość normalne: choinki, Mikołaje a w odpowiednim czasie Dziadki Mrozy, tradycyjne „Do Siego Roku”, stopy ładnie opakowanych pudełek z prezentami, bombki, gwiazdki, śnieżynki, pokłady deficytowej waty i ligniny. W sklepach cukierniczych na wystawach pojawiały się prawdziwe pierniki i liczni Mikołaje w czerwonych kubraczkach z zieloną choinką na ramieniu, choinkowe cukierki długie jak lodowe sopele w różnokolorowym szeleszczącym celofanie, a nawet niefery ciągnące sanie. Kilkakrotnie próbowałem tych „specjalizowanych” smakołyków – głównie choinkowych cukierków i okazjonalnych pierników, do dziś pamiętam ich wysoki poziom odporności na konsumpcję, a to ze względu na konsystencję i „wyszukany” smak. Podobne szaleństwo poprzedzało święta Wielkanocne, z tą różnicą, że białą imitację śniegu zastępowała imitacja zielonej trawki i hasające po niej zajączki i kurczaczki, oczywiście trudno jadalne, niby cukrowe baranki. W tym przypadku świąteczną wysublimowaną wystawową kompozycję artysty potrafiła popsuć sklepowa kierowniczka, wstawiając w gotowe artystyczne dzieło donicę wyhodowanej przez siebie rzeżuchy i to z wielkanocnym barankiem, który na dodatek zdobny był czerwoną chorągiewką ze złotym krzyżykiem i miskę jajek wybarwionych na brunatno w łupinach cebuli. W lecie niepowtarzalne dzieło dekoratora bezczęścił, powieszony niczym świąteczna girlanda, lep na muchy lub (o zgrozo) talerzyk z trutką (też na muchy).

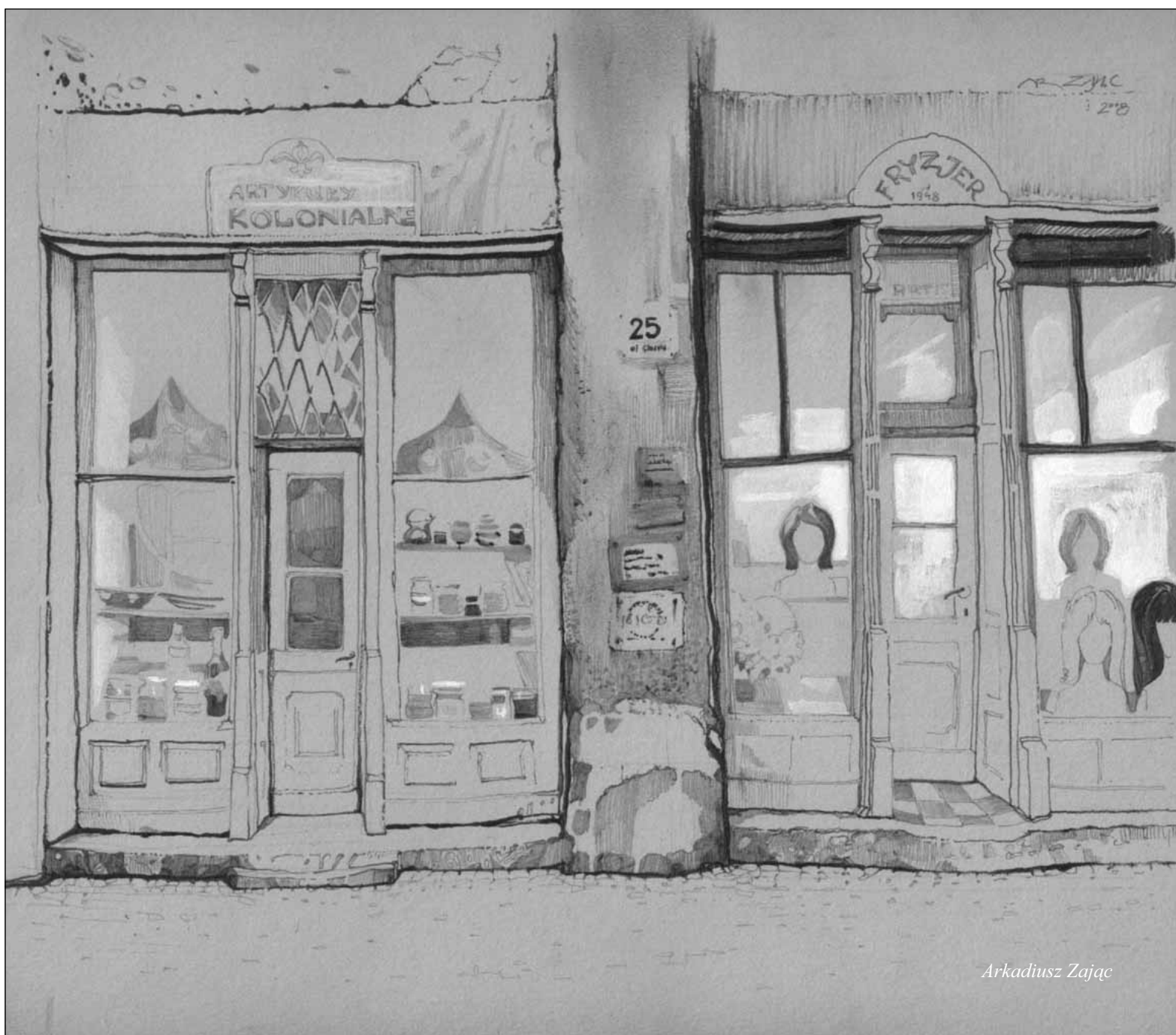
Odmienne od innych, zawsze wypełnione towarem były wystawy księgarni. Tu bez względu na przejściowe trudności zaopatrzeniowe, towaru nigdy nie brakowało. Nawet w najczarniejszych czasach znala-

SENTYMENTY

zła się odpowiednia propagandowa literatura pozwalająca wypełniać puste okna wystawowe. Scenariusz był w tym przypadku niesamowicie prosty, na poczesnym miejscu stawiano półtora metra dzieł czołowego klasyka - ideologa, którego najbardziej dekoracyjnym uzupełnieniem był gruby jak niedzielny mszał liturgiczny tom „Kapitału” starszka Marksa. Jeszcze „Historia WKP(b)” i kilkanaście numerów „Poradnika Agitatora” wieńczyło dzieło. Na przełomie lutego i marca ukazywało się wielce (autentycznie) pożądane dzieło - „Kalendarz Robotniczy”. Ten potrafił być naprawdę ciekawy, przy tym pomocny w szkole (sławna „nauka o konstytucji”, czy po zmianach - „wychowanie obywatelskie”), a i w gospodarstwie domowym - zawierał bowiem liczne przepisy, porady gospodarskie, ciekawostki. Próżno dziś szukać - ze względów bibliofilskich tego kuriozum - zniknęło wraz z epoką, ale wtedy wypełniał całutką wystawę. W innym normalniejszym czasie wystawy księgarń

normalniały, były jeszcze ciekawsze, kolorowe i tak pozostało po dziś dzień. W tej branży w państwowe święta kłopot sprawiała antykwaryaty, nie było w nich propagandowej „makulatury”, a trudno było fetować oficjalne święta bzdurnymi zaczytanymi powieściami, poradnikami wzorowej gospodyni, czy wreszcie broszurkami o złych skutkach chorób wenerycznych i zdrowym zimnym chowie krów czy cieląt, że o królikach i pszczołach nie wspomnę. Zjawiał się wtedy na wystawie - niczym w przydrożnej kapliczce - portret kogoś bardzo ważnego, np. Generalissimusa. Portret dodatkowo zdobny złotymi ramami w asyście nieśmiertelnych paprotek wprowadzał tak podniosłą świąteczną atmosferę, że wystarczało.

Bardzo nietypowe wystawy - już w latach sześćdziesiątych - spotykało się w sklepach „Jubitera”, „Chinki”, „Desy”. Jawił się tam świat luksusu i przepychu. O ile w pierwszych Desach (z reguły w małych ciasnych kłitkach) okna wystawowe kipiały



nieprzebraną, chaotycznie upchaną masą staroci, to „nowoczesność” Jubilera czy Chinki wabiła lśniącem błyskiem nowości, rześzystym oświetleniem, bielą wnętrza. Biżuteria prawdziwa była wprawdzie raczej podładą, ale przepięknie obrobionego srebra, półszlachetnych kamieni, kryształów, porcelany, kolorowego artystycznego szkła, inkrustowanej laki nie brakowało.

Całkowite przeciwieństwo wystaw państwowych stanowiły wystawy maleńkich prywatnych sklepików. „Galanteria” - wieścił dumnie wielki szyld wiszący nad maleńką wystawą, na której kłębiła się nieprzebrana masa najróżniejszego towaru, od gotowych damskich kiecek i bluzek, poprzez czapki, szaliki, rękawiczki, torebki, wyszukane ozdóbki: koraliki, broszki, szpile, przypinki ze sztucznych kwiatów, aż po pochodzące z nielegalnego importu amerykańskie „nylony” i niemieckie „perlony”. Wypatrzeć w tej gmatwaninie cokolwiek było absolutnie niemożliwe, wystawa spełniała jednak swój cel – informowała, że w sklepiku jest wszystko i jeszcze dużo, dużo więcej. Wszystkie te sklepiki skupiły się w I Alei, na Krakowskiej (przepraszam, wtedy Stalinogrodzkiej), Ogrodowej (znowu pomyłka – Armii Ludowej) i Piłsudskiego (i tym razem błąd - gen. Świerczewskiego).

Okno wystawowe posiadał też prawie każdy warsztat rzemieślniczy. Oprócz szyldu z informacją o firmie i jej właścicielu, stała tam oczywiście paprotka, o którą dbała żona właściciela. Można ją było zobaczyć (kobietę) niemal w każde południe, gdy odwiedzała firmę przynosząc mężowi obiad, a przy okazji prezentowała się w wystawowym oknie przy podlewaniu kwiatów (kwiatka). W oknie zawsze znalazł się jakiś związany z działalnością firmy atrybut: szewskie kopyto, manekin krawiecki, rozbebeszony odbiornik radiowy – najlepiej zasłuchana na amen heterodyna z zielonym magicznym oczkiem.

Barwne i kolorowe były wystawy w warsztatach modystek. Mieniły się kolorami przeróżnych damskich czapek i kapeluszy, które, żeby było jeszcze weselej, upstrzone były wstążkami, kwiatkami, a w razie potrzeby i tajemniczą woalką. Męski osobnik na ten widok dostawał szkodliwego dla zdrowia oczopląsu, a o szkoldliwości dla męskiego portfela lepiej zamilczeć.

Równie artystyczne były wystawy fryzjerów. U męskich stał z reguły bardzo wyblakły konterfekt jakiegoś niegdysiejszego adonisa z głową ulizaną na gładko, wybrylantynowaną i z nienagannym prościutkim przedziałkiem. Pod nosem mały uwodzicielski wąsik – angelkę (a swoją drogą ileż określeń zawierało to jedno słowo, sławny „setkowy” kieliszek wódki to też angelka), garniturek z tenisu, goździk w butonierce. Z czasem miejsce tych staromodnych amantów zajął uroczy „Fanfan”, tego z kolei zmienił znowu wybrylantynowany „Elvis” - i tak po dzień dzisiejszy. W III Alei stała w oknie malowana na szkle tabliczka informująca, w jakich obcych językach można się tu dogadać i to już była prawie Europa.

Jeszcze bardziej strojne były zakłady damskie. Na wystawach trafiał się przegląd fryzur niemal od epoki kamienia łupanego. Można było podziwiać francuskie loki, warkoczyki zaplecione w koszyczki, trwałe ondulacje upodabniające modelkę do owieczki przedniej rasy merynos, simony, końskie ogony, chryzantemy, koki (w tym i te w bok), grzywki – uff! Czasami trafiała się porcelanowa główka w prawdziwej peruce!

Najbardziej efektowne były jednak gabloty wystawowe u fotografów. Niemal każde wejście do bramy w II Alei zdobiły takie gabloty, a to znaczyło, że w oficynie, w podwórku, często na piętrze mieścił się zakład fotograficzny. Firmy takie jak Zgórecki, Majchrowski, „Stella”, Wiśniewski, Grzebielucha i inne, których nazw już nie pamiętam, wpisały się w pejzaż Alei tamtych lat, a ich wystawowe gabloty przydawały ulicy koloru, ożywiały, a nawet bawiły. W karnawale, gdy wystawiano w nich nowożeńców, przytulonych twarzami wpatrzonych w przyszłość lub wspartych o atelierowe kolumnienki w scenerii romantycznych kolumnad i łuków, na tle połyskujących draperii – nie było obojętnego na te widoki przechodnia. A gdy jeszcze obok zjawiały się zerkające przez półnogie ramię, czarujące uśmiechem koralowych ust, wyfryzowane zgodnie z kanonem najnowszej mody, miejscowe piękności - tłum przed gablotą gęstniał, a że każdy tłum rządzi się swoimi prawami, słychać w nim było przeróżne komentarze, od ochów i achów, po „bezwstydnice” i zawistne „popatrz pani, toto złapało frajera”, a zakład umacniał swą i tak silną pozycję.

W wędrowce przez zakamarki własnej pamięci trafiam (ileż to lat) do sklepu mojej ciotki przy Alei Wolności. Wojenny sklep spożywczy, kartkowy towar, kartkowy chleb, „popularna” kartkowa marmolada, wory kartkowej mąki i kaszy, cukru, a na wystawie cudo! Gipsowe, naturalnej wielkości popiersie uśmiechniętego kucharza (w gruncie rzeczy był to piekarz, ale dla mnie na zawsze pozostał kucharzem), czarnobrewego z czarnym uwodzicielskim wąsikiem, z rumieńcami na policzkach w białej piekarskiej czapce, białym kitlu, trzymającego w rękach gipsową babkę – przedwojenna reklama firmy Oetkera. Fascynowała mnie ta postać zajmująca wojenną pustą sklepową wystawę. Po uspołecznieniu sklepu, mój „kucharz” trafił do ciotycznego mieszkania w oficynie domu za sklepem. Wylądował w kuchni na kuchennym kredensie, był już wtedy trochę poobijany, bardziej kanciasty i jak gdyby trochę zmęczony. Tam widziałem go po raz ostatni. Jeszcze nie tak dawno próbowałem się dopytać o jego losy, jednak nikt w rodzinie nic już o nim nie wiedział, odniosłem wręcz wrażenie, że dla nich nigdy nie istniał, uśmiechał się tylko do mnie podobnie, jak i tamte dziewczyny ze starych fotografii w zakładach fotograficznych, sklepowe z nieistniejących już sklepów, a nawet dostojnicy z portretów.

Zbislav Janikowski

Mayday

Już dziesięć lat Teatr im. Adama Mickiewicza gra sztukę Raya Cooney'a „Mayday”. Byliśmy na jubileuszowej gali i uczestniczyliśmy w świętowaniu sukcesu.

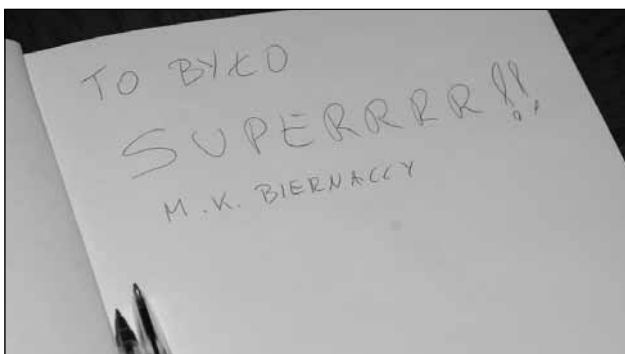


Wyreżyserowane przez Wojciecha Pokorę perypetie londyńskiego taksówkarza wystawiono już ponad trzysta razy!



Kwiaty do artystów (jak na każdym przedstawieniu)

Wpisy w księdze pamiątkowej wyłącznie pozytywne. Zasluzenie!



Szampan dla wszystkich (zaraz będzie)



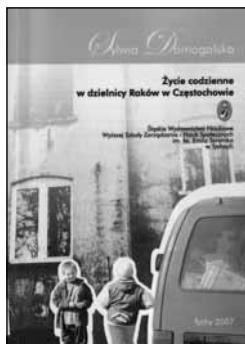
Kuluary pełne rozbawionej i rozdysktowanej publiczności



Aktorzy, już w prywatnych strojach, bacznie śledzą reakcje publiczności: co też napiszą w księdze pamiątkowej?

Fot. Leszek Pilichowski

Warto przeczytać/przejrzeć



Życie codzienne w dzielnicy Raków w Częstochowie / Sylwia Domagalska. – Tychy : Śląskie Wydawnictwa Naukowe Wyższej Szkoły Zarządzania i Nauk Społecznych im. ks. Emila Szramka, 2007. – 131 s.: il.; 24 cm

Publikacja Sylwii Domagalskiej to prawdziwy rarytas. Praca z zakresu socjologii Częstochowa doczekała się dotąd niewiele, tym więc cenniejsza jest rzecz opublikowana w Tychach. Socjologiczny opis społeczności rakowskiej, wyróżniającej się bardzo na tle Częstochowy, jest niezwykle ciekawy, nawet biorąc pod uwagę język – jak to w pracy stricte naukowej jest to język suchy, pełen liczb i obcych terminów, precyzyjny, a więc wymagający bardzo uważnej lektury. A jednak tę rozprawę czyta się świetnie, bo „przedmiot” badań Autorki sam w sobie jest niezwykle ciekawy. Ten „przedmiot” – robotnicza społeczność Rakowa – ulega też ciągłym zmianom i być może Autorka wykorzystała ostatni moment by ją opisać.

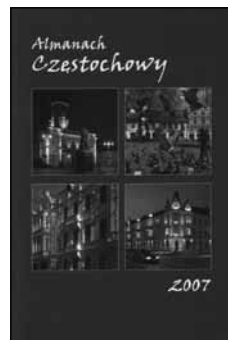


IV Liceum Ogólnokształcące im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie 1862-2007: szkoła, nauczyciele, wychowankowie : praca zbiorowa pod red. Juliusza Sętowskiego. – Częstochowa : Muzeum Częstochowskie, 2007. – 596 s.: il. 25 cm

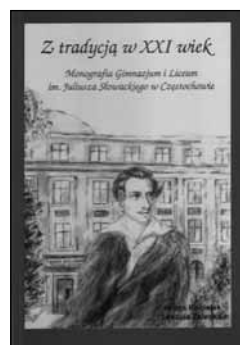
Monografia najstarszej szkoły w Częstochowie to jedno z najbardziej ambitnych przedsięwzięć wydawniczych Częstochowy ostatnich lat. I, dodajmy, jedno z najbardziej udanych. Rys historyczny szkoły zespół autorów opracował bardzo starannie. Mój szczególny zachwyt wzbudziła część druga, zawierająca biogramy pedagogów i wychowanków (autorstwa Aleksandra Cieślaka) – rzecz niesłychanie cenna, prawdziwa kopalnia wiedzy o ludziach naszego miasta. Całość uzupełnia bogaty materiał ikonograficzny. Pozostaje życzyć całemu zespołowi, by na laurach nie spoczął. To, że praca będzie wymagać uzupełnień, jest oczywiste, i nie jest to zarzut, zważywszy pionierski charakter publikacji.

Almanach Częstochowy 2007 / red. Maciej Batorek, Augustyn Chojnowski, Stanisław Gmitruk. – Częstochowa : Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, 2007. – 284 s.; 25 cm

Kolejny, szesnasty już zeszyt periodyku TPCz zawartość posiada bogatą. Z materiałów o charakterze historycznym polecić szczególnie warto „Dzieje częstochowskiego Stradomia” Jana Łączewskiego, „Jan Długosz o swej ziemi



rodzimej” Jana Związka, dwa szkice z dziejów przemysłu Franciszka Sobalskiego, oraz szkic o rodzinie Zawadów autorstwa Jerzego Góreckiego. Najnowszy Almanach bardzo dużo uwagi poświęcił literaturze – przedstawia teksty Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, Elżbiety Gorczyckiej, Barbary Kubickiej-Czekaj, Tadeusza Luterka. Cennym uzupełnieniem jest szkic biograficzny Augustyna Chojnowskiego o Andrzeju Kalininie. Z innych zagadnień polecamy B. Snocha „W staropolskiej karczynie”, J.B. Mazika „Częstochowskie poczátky zbierania marek pocztowych” oraz fragment „Przewodnika po Częstochowie” Feliksa Romanowskiego z 1893 roku, ze wstępem Roberta Sikorskiego.



Z tradycją w XXI wiek : monografia Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie / Iwona Kociołek, Urszula Zaleska. – Częstochowa : „ZW „Kemat”, 2007. – 255 s.: il.; tab.; 25 cm

Kolejna monografia szkoły, zawierająca dużo materiału źródłowego i fotografii. Jedna z najstarszych szkół Częstochowy doczekała się wreszcie porządnie opracowania swych dziejów. A niepojętym zrzędzeniem losu do tej pory takiej publikacji o szkole, obchodzącej swe stulecie, do tej pory nie było. Jeszcze jedna „biała plama” została usunięta. Inna kwestia, że na tle monografii „Sienkiewiczza” ta publikacja może wyglądać dość skromnie.



Dzieje Spółki Akcyjnej Browaru w Częstochowie (dawniej K. Szwede) / Dariusz Złotkowski. – Częstochowa : Akademia im. Jana Długosza, Muzeum Częstochowskie, 2006. – 130 s.; 28 s.tabl. : il. ; 21 cm

Wiadomość o wydaniu tej publikacji przyjąłem z niekłamana radością. Po pierwsze, sam jestem smakoszem piwa, po drugie osoba Autora dawała gwarancję wyczerpującego i odpowiedzialnego potraktowania tematu. I nie zawiodłem się. Prof. Złotkowski przedstawił 160-letnie dzieje Browaru w sposób tak dokładny, jak jest to możliwe (niestety, w archiwach są luki...), podając przy tym szereg cennych informacji na temat tradycji piwowarskich w regionie. Pracę tę warto polecić każdemu miłośnikowi dziejów miasta. Niestety, muszę też skonstatować rzecz smutną. Częstochowski browar przestał produkować, zanim jego monografia trafiła do drukarni...

Oprac. Zbigniew Stańczyk

IGRASZKI Z WIDZEM czyli TEATR NASZ OGROMNY

Reżyser Gabriel Gietzky zrealizował w naszym teatrze kolejne przedsięwzięcie. Tym razem była to, zabawna w wersji pisanej, opowieść Jana Drdy „Igraszki z diabłem”. Częstochowska inscenizacja wygląda na udaną. Szczególnie ładnie wypadły ciekawe, autentyczne ludowe kostiumy.



Fot. Leszek Pilichowski



Fot. Leszek Pilichowski

Reżyser bardzo się starał - jak to się mówi w teatrze - udźwignąć przedstawienie. Jednak mimo wysiłku i wydatnej pomocy aktorów, raczej mu się nie udało. Widać zobaczył nasz teatr w całości i zrozumiał, że jest on naprawdę ogromny.



NADCHODZI CYWILIZACJA



Mieszkańcy ul. Krakowskiej, Małej i sąsiednich otworzyli usta – i do dziś tak stoją. A to z powodu wielkiej inwestycji, zapoczątkowanej właśnie w ich zapóźnionej dzielnicy. Powstanie tu duża galeria handlowa pod nazwą Galeria Jurajska, wielogaśne gmaszyszko, do którego będą też wykonane dojazdy, odjazdy, objazdy i w ogóle cała ta niezbędna infrastruktura. W galerii znajdzie pracę 1500 osób, a ile zmieści się tu sklepów i sklepików, to się w ogóle

w głowie nie mieści. Nowa galeria będzie z pewnością rozsądnikiem cywilizacji, choć architektonicznie to jest tylko taki większy barak, w którym nie należy spodziewać się alabastrów, marmurów i podobnych cudów na kiju. Natomiast musimy zauważyć z satysfakcją, że galeria pięknie wpisuje się w panoramę naszego miasta. Zarobimy krocie, sprzedając prawo uwieczniania panoramy Częstochowskiej przez malarzy, fotografików i reżyserów filmowych.

MPK ZAATAKUJE KULTURĄ

Wzorem Białegostoku, także w Częstochowie będą publikowane – w środkach miejskiej komunikacji - dzieła artystyczne. Zobaczymy obrazy, wysłuchamy poezji. Pomysł interesujący, choć cokolwiek kontrowersyjny. Próby upowszechniania kultury metodą uliczną już były; w pewnym okresie uważano je nawet za typowe dla naszego miasta. Niedawne to bowiem czasy, gdy alejami wędrował młodzieniec z trumienką i łopatą na ramionach oraz odpowiednimi kwitami. Mało, że wędrował, to jeszcze śpiewał! Ale dajmy sznase kulturze, nie sprzeciwiamy się nowym trendom i modom, wszak postępu nikt nie jest w stanie zatrzymać.

WIOSNA ZA PASEM

Wiosna za pasem. Tylko jej patrzeć. Na drzewach pojawiły się pierwsze już bazie, zwane też kotkami.



Fot. J. Piernikarski

MOZART

Osiągnąć artystycznych mieliśmy ostatnio więcej. Były to np. koncerty Mozartowskie w naszej filharmonii. Z okazji niedawnej rocznicy urodzin wielkiego kompozytora miasto nasze dołożyło cegiełkę do ogólnopolskich i ogólnoswiatowych obchodów. Na zdjęciu: wyremontowana z okazji jubileuszu ulica Wolfganga Amadeusza Mozarta w Cz.



Fot. Zbigniew Burda

WARTA ŻYJE

Przez Częstochowę przepływa rzeka Warta, co odkryli niedawno bohaterscy eksplorery z Urzędu Miasta, po wykonaniu odpowiedniej, praktycznej próby. Rzeka jest spława i umożliwia komunikację z innymi regionami naszego kraju. Szczególnie ważny wydaje się kierunek poznański, wszak do stolicy Wielkopolski wcale niełatwo się dostać PKP. Tymczasem Warta zupełnie przypadkowo płynie w tym właśnie kierunku. Stała komunikacja wodna z innymi regionami Polski, planowana jest jednak dopiero na lata 2088-89. Kto tego doczeka?!



Cierpienia starszego Wertera Pochwała imponderabiliów

Mija 40. rocznica Rewolucji Dziadowskiej. 30 stycznia 1968 roku w Teatrze Narodowym odbył się ostatni publiczny pokaz „Dziadów” – przedstawienia, którego premiera miała uświetnić obchody pięćdziesięciolecia rewolucji październikowej. Wyszło inaczej. „Dziady” stały się reifikacją zamachu na sojalizm. Okazało się, że Kazimierz Dejmek, poprzez natchnioną kreację Gustawa Holoubka, chciał obalić jedynie słuszny system, sprowadzając na manowce idee i linię. Wielka Improwizacja tchnęła ducha, który jednym zacierał, innym zaś budował nowe linie demarkacyjne.

Minęło 40 lat. A lekcja wciąż nieodrobiona. Demarkacja kwitnie. Nawet ta intelektualna. Niezależnie od pór roku, kadencji, dekad. Oto „Strach” Jana Tomasza Grossa sieje strach i zgorzienie. Żniwo zbiera ksenofobia, ostracyzm i umysłowa zapyziałość. Żeby było jasne: nie bronię żadnej z tez Grossa. Przeciwnie – wiele jego uogólnień budzi mój sprzeciw. Jednak niech mi będzie wolno powtórzyć za Platonem, pomimo bólu, że „lepiej być krzywdzonym niż krzywdzącym”. Trzeba rozmawiać. Bez fochów i odbijania piłeczki. Tym samym zwykła przyzwoitość powinna odstępować przed wpisaniem się w dziadowską gomułkowszczyznę. A niemało tub w mediach było mi dane usłyszeć w tej kwestii.

Ale dość o krajowej kazuistycy. Pochylę się nad ludnością w ogóle i uzalę się ile wlezie, bo gniew we mnie wzbiera. A wiadomo, że gniew ma podłoże w samoabsorpcji. Każdy chce być pierwszy, najmądrzejszy, najlepszy. Lecz ktoś mu w tym ciągle przeszkadza. Dla przykładu: Szkot wysysa z mlekiem matki nienawiść do brytyjskiej korony. Bo jakże to możliwe, aby w XXI w. saankcjonować lokalne prawo miasta York, które zezwala na zamordowanie każdego Szkota, jeśli ten znajdzie się w murach tegoż miasta uzbrojony w łuk i strzałę! Z kolei Walijczycy nie mają prawa przebywać w angielskim Chester od zachodu do wschodu słońca. Mimo to Brytyjczykom nie spieszo do detronizacji J.K.M.

Świat jest pełny podobnych dziwolągów prawnych i obyczajowych – nieprawych i nieobyczajnych. Głupich! Kara śmierci, choćby najbardziej zhumanizowana (brrr!), jest odczłowieczeniem prawa. Stryczek, kula, ba! ukamienowanie, etc., są narzędziami wymiaru sprawiedliwości (?) wielu krajów tego świata. Sondáže wskazują, że większość Polaków jest również za tą karą. Iluż to byłoby nawet za najbardziej wyrafinowaną jej formą, jak u Jerofiejewa, za dożywotnią karą śmierci. Tośmy się ucywilizowali!

Żaden Morgan Freeman nie ostudzi mojej sumy wszystkich strachów, jeśli sam nie przestanę jątrzyć przeciw tobie. I nie ułożę się z sobą bezpiecznie do snu. Bez liczenia baranów, które to barany zbyt kształtują (nie)świadomość.

I na koniec słowo o innym bladym strachu, który ogarnął wielu po ostatnich protestach różnych służb publicznych. Te protesty zresztą nie będą ostatnie. Ale strach o siebie niech będzie ostatni. Żyj odważnie! Wystarczy wyznawać krotochwilną zasadę, że życie szczęśliwe i wolne budują imponderabilia. Żadni politycy! Nikt ci nie odbierze twoich własnych dupereli.

Werter W.

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 7

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

BĄDŹ KULTURALNYM PASAŻEREM

Miniony rok zapisał się w dziejach naszego miasta wielkopomnymi zmianami w MPK: wprowadzeniem Częstochowskiej Karty Miejskiej oraz głośników, przez które ogłasza się poszczególne przystanki. Wiele jednak ma do owych wynalazków poważne zastrzeżenia. Nie skończy się na poprawie działania: w ramach promocji lokalnych twórców rewersy CzKM będą ozdobione reprodukcjami obrazów częstochowskich malarzy. Pani zapowiadająca przystanki ma w trakcie jazdy opowiadać kawały, by podróżnym się nie nudziło. Istnieje też projekt alternatywny: w czasie, gdy pani nie zapowiada, niech w autobusie czy tramwaju coś gra, najlepiej urozmaicone. Znany muzyk Janusz Y. ma nagrać 24 godziny improwizacji, abyśmy przy wsiadaniu nie trafiali dwa razy na ten sam fragment.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Wydawnictwo „J.F. Kapke i S-ka” opublikowało zbiór listów kontrowersyjnego pisarza z Polesia, Izraela Kewy, zwanego „żydowskim Witkacym”, do jego przyjaciela z Częstochowy. Potomek wielkiego talmudysty Cwi Hirsza Ohliwy, autora traktatu teologicznego „Ogród Jelenia”, nie poszedł w ślady przodka i wkrótce po debiucie został wyklęty przez wszystkie kahały Polesia, a świeckie towarzystwo nie chciało mieć z nim nic wspólnego. Z wydanych listów dowiadujemy się, że jeśli chodzi o skandalizowanie, to wszystkie te dzisiejsze Dody, Michałowie Wiśniewscy et consortes – to przy Kewie mały pikus.

Nakładem oficyny „Czasem się Chowa” wyszła powieść Ryszarda Bulawayskiego „Fałgoška”, epickie dzieło (ponad 1200 str.) osadzone w dramatycznej epoce, gdy do Częstochowy przyłączone zostały Dźbów, Brzeziny i Konopiska. Autor pracuje nad kolejną epopeją z życia lumpenproletariatu z Zawodzia w późnych latach 60.

KONTAKT Z KONTRATENOREM

Kto nie zdaje sobie sprawy, jak wysoko może śpiewać mężczyzna zachowując czystość barwy, niedługo będzie mógł się o tym przekonać osobiście. W Fisharmonii Częstochowskiej wystąpi jeden z najbardziej oryginalnych kontratenorów świata, Victor Pelazquez, nazywany czasem „męskim sopranem”. Towarzyszyć mu będzie Orkiestra Małopolski Północnej, złożona z najlepszych przedstawicieli gminnych orkiestr OSP dawnych województw: kieleckiego i radomskiego. W programie znajdują się dzieła Mozarta, Dworzaka, Szymanowskiego oraz Degasa.

NA DWÓCH KOŁACH WŚRÓD PINGWINÓW

Grażyna Żużajewa-Fryżykowska, nauczycielka plastyki i biologii w jednej z częstochowskich szkół podstawowych, ma wziąć udział w pierwszej ekspedycji rowerowej na Biegun Południowy, poprowadzonej przez Częstochowskie Towarzystwo Polarników im. Dobrowolskiego. Oprócz przygotowywania kawy będzie się zajmować dokumentacją fotograficzną oraz impresjami malarskimi. Oczywiście, jeżeli farby nie zamarzną.

KRÓTKI FILM O ODCHUDZANIU

Częstochowski reżyser Cyrus Mąkosz (wszelka zbieżność nazwisk przypadkowa) odniósł sukces na VII Festiwalu Filmów Prozdrowotnych w Puente Gucumatz (Gwatemala). Jego film „Sadło, czyli 120 dni kuracji” otrzymał Grand Prix, na którą, oprócz gustownej statuetki i ogólnego honoru, składa się także fabryka podkoszulków na przedmieściach Puente Gucumatz. Nasz gwatemalski korespondent donosi, że wszyscy jurorzy byli wstrząśnięci.

SKOPANA CZĘSTOCHOWA

Po dramatycznej historii remontu III Alei, godnej scenariusza w rodzaju „Przeminęło z wiatrem”, oraz po kilku innych renowacjach (wiadukty, nie wiadukty) nasze miasto wystąpi w filmie o kopaniu. Jego bohaterami nie będą jednak robotnicy drogowi, lecz mistrzyni wschodnich sztuk walki Akiko Kujiraoka. Reżyserem pierwszego hongkońskiego filmu akcji, który rozgrywa się w Częstochowie będzie Tajlandczyk Pornpipatpong Pabthakonthom. W poufnej rozmowie wyjawiał on nam, że wśród plenerów wykorzystanych w filmie pojawi się sama III Aleja, ale też m.in. Stary Rynek, ul. Senatorska, teren Politechniki i dworzec Częstochowa Stradom, a finałowa walka odbędzie się we wnętrzach Urzędu Miasta. Czekamy na efekty i mamy nadzieję, że naszego kochanego grodu, z takimi trudami ostatnio remontowanego, nie trzeba będzie po wszystkim składać na nowo.

Z KRONIKI RESTYTUCJONISTÓW

Częstochowska Liga Restytucjonistyczna na XII Zjeździe w motelu „Austryjaki” przyjęła niezwykle ważną uchwałę. Zostało w niej nareszcie powiedziane oficjalnie, że odrodzone województwo częstochowskie ma mieć zakres terytorialny sprzed 1999 roku. Pojawił się jednak problem, gdyż Secemin i Moskorzew wchodzi w skład powiatu włoszczowskiego, co oznacza tytaniczny konflikt ambicji. Nasza redakcja radzi: zostawcie, chłopaki, ten Moskorzew, a przyłączcie za to Nową Brzeźnicę.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne kursy dla młodych twórców. 28 lutego wykład prof. Rodryga Biadoły „Jura – praojczyzna Sumerów?”. Natomiast 29 lutego Alphonse T. Bubal, członek-korespondent Luizjańskiego Towarzystwa Cenzorów Filmowych i reżyser-amator, poprowadzi warsztaty „Jak poprawiać zakończenia na optymistyczne”. Pierwsze zadanie na warsztatach: jak dorobić happy end do „Kanału”.

Janusz Rafał Głowacki – ur. w Częstochowie 1959. Studiował na Wydz. Grafiki ASP w Krakowie. (dyplom w pracowni Andrzeja Pietscha, 1985). Wykładowca Akademii im. Jana Długosza. Prace w zbiorach polskich, USA i Brazylii. Wystawy indywidualne i zbiorowe w kraju oraz m.in. w Niemczech, USA, Francji, Szwecji.

Na okładkach obrazy Janusza R. Głowackiego:
Święty Jerzy i smok
Szkic do pierwowzoru wartościowania



